ROK WYDAWNICTWA SZÓSTY

Cena 40 gr.

LWÓW, HAUKE BOSAKA 12

15 lutego 1939 r.

WYDAJEMY WE LWOWIE
63 NUMER PISMA

Sygnały

dwutygodnik · sprawy społeczne · literatura · sztuka ·

MARJAN CZUCHNOWSKI

WALKA O TEATR LUDOWY

Sprawa teatru ludowego, ściślej zaś — sprawa oceny chłopskiej i robotniczej, jest od wielu lat przedmiotem namiętnych sporów, walk, złośliwych żartów, drwin, łez i prawdziwych tragedyj, wlokących się jeszcze sprzed wojny, z okresu „Młodej Polski". Cóż łatwiejszego niż wykpiwanie ludowego teatru i cóż **trudniejszego niż stworzenie wielkiego i prawdziwego teatru ludowego!** Niestety, wielkość nie zawsze chodzi w parze z prawdziwością i nieraz wielki teatr nie jest prawdziwym teatrem ludowym, często może być jego zaprzeczeniem, karykaturą albo grobem efektownie oświeconym brylantami kinkietów.

W sprawę teatru ludowego, w zagadnienie sceny chłopskiej i robotniczej, wpryskują się różne, obce temu teatrowi składniki. Wszyscy biadają nad niskim poziomem scen chłopskich i robotniczych, piszą na ten temat uczone rozprawy, boleją nad prostackim, gruboskórnym repertuarem, nad lichotą sprzętu, budynków, reżyserji, ba, nawet postponują słuchaczy i domy ludowe ale nie postarają się, aby scena chłopska i robotnicza mogła się **samodzielnie** rozwinąć, rozróść i wyprostować. Teatr chłopski i robotniczy musi walczyć nie tylko o repertuar, aktorów, reżyserów, budynki, kostjumy, światło i szminkę ale jeszcze **musi bić się z protektorami,** z narzuconym repertuarem, z urzędami starościńskiemi o zniżenie opłat od widowisk, o sale, o afisze, o słuchacza, **o wolność i swobodę twórczą.** Walczyć musi na dwa fronty. Jeden front — to jego własne braki, prymitywizm środków, sceny, materjału aktorskiego, repertuaru, drugi front — to walka o **swobodne wyzyskanie tych skromnych możliwości,** które posiada, t. zn. — **własnej sztuki, własnej sceny, własnej reżyserji i własnej, czysto ludowej idei teatralnej.**

A dobrze w teatrach ludowych pod tym względem nie było i nie jest. Chłop-aktor i robotnik-aktor dość często spychany był i jest do roli **narzędzia** a nie **żywego twórcy teatru.** Rutyniarstwo urzędowego teatru burżuazyjnego zawędrowało pod strzechy, spotworniałe małowiejskiem i małomiejskiem kołtuństwem inteligenckiem; blade dyktatory ludowego teatru zamiast pozwolić mu żyć, rosnąć, rozwijać się i kwitnąć, zatrzasnęły go w ciasnej skrzynce nudy i obrzydzenia, zepchnęły do poniżającej roli kopciuszka, błaznującego na imieninach spoconego proboszcza lub nauczyciela, czy też „uświetniającego" mętne mowy mętnych patrjotów na mętnie i bezplanowo urządzanych obchodach różnej maści i pod różnemi pozorami.

Oczywiście, **nie wszystkie** teatry chłopskie i robotnicze poddały się marazmowi i kołtuństwu rutyniarzy albo zgoła głupców, ale straszliwie zaciężyła nad rozwojem teatru ludowego ręka „ludzi do wszystkiego", którzy, być może, znają się na skarbowości, abecadle lub trunkach ale pojęcia nie mają o teatrze! Co gorsza, zepchnięto teatr ludowy do roli **amatorskiego popychadła,** którem kręcą anonimowi genjusze; każdy kiepski literat, laurowy amator tanich efektów, może tu znieść jajo „sztuki" jak krokodyl kuropatwę i paradować w chwale „scenopisarza". Cóż dziwnego, że biedna kokoszka chłopskiego teatru, wyskubana z piór i głosu, skrzeczy na „deskach scenicznych" jak katarynka, samograj nakręcony przez ślepców, kuglarzy i handlarzy.

Nie wszystko jest złe w teatrze ludowym ale jest mało dobrego. Samotne i piękne zrywy niektórych zespołów, ładny dorobek wielu kół teatralnych chłopskich, ginie w morzu „śtuk" i „śtuczek" fabrykowanych dla ogłupiania słuchaczy, reżysera i aktorów. Początkujący chłopski lub robotniczy pisarz teatralny nie ma naprawdę na czem oprzeć swych nowych utworów, nie ma do czego nawiązać, **nie ma tradycji do której mógłby uczciwie dopasować swoje ogniwo,** musi zaczynać **nanowo** albo nawiązywać do tradycji wielkiego teatru romantycznego i modernistycznego; **wielką sztukę chłopską, wspaniałe obrzędy, widowiska, wiece i tańce muzyczne, teatr masowy,** w którym brała udział gromada wiejska, czyli **gromadzką rzecz teatralną wyparły** „śtuki" i to jakże nędzne „śtuki"!

Chcąc być sobą w teatrze chłopskim i robotniczym, **musi autor, reżyser, aktor, dekorator i maszynista wszystko zaczynać nanowo!** I to po linji absolutnie nowej, zdecydowanie rewolucyjnej. Musi odrzucić paki śmiecia teatralnego, nagromadzonego przez ostatnie czterdzieści lat, musi spalić dotychczasową sztukę reżyserską, przemienić aktora, stworzyć **nową przestrzeń teatralną,** odrzucić budę i zakopcone lampy, naturalistyczne dekoracje knocone przez jwpanów malarzy w wolnych chwilach, a egzekutorów skarbowych z urzędu i zamiłowania — **wywalić teatr na wolne powietrze i dać go gromadzie.**

W teatrach ludowych zły jest nietylko repertuar, zaśniedziałe szafy z histerycznemi kostjumami do „sztuk histerycznych", ale zły jest stary reżyser, aktor, sufler i scena. Sławne są w kraju przedstawienia, podczas których cała widownia ryczy ze śmiechu, na scenie zaś rzęzi jak łupiony ze skóry baran „biedny ojciec siedmiorga dzieci", umierający z nakazu autora na „śmierć bohaterską" za jakąś bliżej nieokreśloną „Wielką Sprawę". Dlatego wieś i miasto robotnicze z większą przyjemnością słucha **trudnej sztuki z wielkiego repertuaru** romantycznego lub modernistycznego niż o „biednym kowalu", który umarł na tyfus plamisty po wypiciu siedmiu kwart spirytusu czyli „ducha" teatru grafomańskiego.

Z wyborem sztuki jest straszny rwetes: Mazurzy, jak się często okazuje, mówią w niej dialektem cygańskim, Cyganie zaś gwarzą sobie jak Kasprowicz z Feldmanem czy feldmarszałkiem z Lanckorony. To trwa dwie godziny, tak, że i słuchacze i aktorzy mogą tymczasem odwiedzić krewnych w drugiej wsi i nic na przerwie nie stracą. Ale nie chodzi tu zresztą o samą „twórczość", o teksty czy „dramaty" — **niestety cała polityka teatralna w Polsce na terenie chłopskim i robotniczym jest wadliwa.** Podwójnie wadliwa! Zabija ona w naszym kraju rzetelny wysiłek stworzenia nowego teatru przez twórcze i ambitne grupy ludowe, którym nie tylko nikt nie spieszy z pomocą, opieką, nie tylko nie daje się im swobody i wolności ale się je tłumi i niszczy.

Ten stan rzeczy musi ulec zmianie. Rozpoczniemy batalję, wciągniemy w nią wszystkie siły pracujące nad odrodzeniem ludowego, nowego teatru i jak rozpoczęliśmy przed paru laty wojnę o nową literaturę ludową i wyszliśmy z tej wojny zwycięsko, musimy pchnąć również naprzód sprawę ludowego teatru. Nie możemy czekać, bo zalewa nas tępa, bezmyślna fala tandety, kołtuństwa, zgnilizny, rutyniarstwa, biurokratycznego niechlujstwa, tępoty i cynicznej głupoty. Wieś i miasto robotnicze czekają na ożywczy deszcz, czekają na gromy, chcą przepędzenia z teatru ludowego starzyzny i blagierstwa — **masy chcą swego, prawdziwego teatru,** swej bujnej, prawdziwej sztuki!

Winę za lichy stan dzisiejszego teatru ludowego ponoszą wszyscy. Ponosimy ją zarówno my, pisarze chłopscy i proletarjaccy, jak i ci, którzy „urzędowo" sprawowali opiekę nad nami i nad ludowym teatrem. Że się rozpanoszyło w teatrach niechlujstwo, to wina urzędowych opiekunów; **że nam nie dano rozwinąć możliwości,** to także ich wina; ale my jesteśmy winni, **że nie podnieśliśmy w tej sprawie alarmu,** że nie demaskowaliśmy niszczycieli chłopskiego i robotniczego teatru.

Od przedwojnia na terenie ziem polskich pracowało kilka instytucyj, które zajmowały się popieraniem sceny chłopskiej; zakładały placówki teatralne, chóry, związki śpiewacze i kulturalne; częściowo krzewiły patrjotyzm, częściowo robiły bałagan. Nie moją rzeczą jest osądzać ich przeszłość, zasługi, gromić za winy. Nie czuję się do tego upoważniony. Było napewno dużo plew, było z pewnością wiele zasług i rzeczy dobrych. Jeśli niektóre z tych instytucyj nie hamowały samorodnej twórczości chłopskiej — to doprawdy wielka zasługa i rzetelna.

Duże niewątpliwie położył zasługi na polu swobody i wolności chłopskich zespołów Związek Teatrów i Chórów Ludowych we Lwowie; założony w r. 1907 przetrwał do dziś dnia jako organizacja i narazie jeszcze nie został stotalizowany. Jako organizacja, Związek Teatrów i Chórów Ludowych, ma silnego, wpływowego i niewątpliwie posiadającego sukces na polu teatru chłopskiego przeciwnika w Instytucie Teatrów Ludowych w Warszawie. Te dwie silne, wpływowe placówki zrzeszając chłopskie teatry w Polsce, będą musiały stoczyć ze sobą walkę nie tyle na polu ideowem, ile raczej na platformie organizacyjnej. Nie uprzedzajmy jednak wypadków. Przecież i my tu będziemy mieli coś do powiedzenia; kto wie, czy właśnie nie same zespoły chłopskie będą miały do powiedzenia najwięcej.

Co dzieje się dziś na polu „urzędowej opieki" nad teatrem ludowym, niech mówią za siebie „urzędowe kawałki". Niech się dowiedzą ludzie zainteresowani w sprawie sceny chłopskiej, jak pojmuje swą rolę ta warstwa „ludzi teatru", której rząd powierzył pieczę nad rozwojem sztuki teatralnej w Polsce. Podaję dosłowny tekst rezolucji piątej ogólnopolskiej konferencji w sprawie teatrów ludowych, zwołanej przez Instytut Teatrów Ludowych w dniu 22 listopada 1938 r. we Lwowie, (podkreślenia w tekście pochodzą ode mnie):

„1. Teatr ludowy jako zjawisko **powszechne i żywiołowe,** jako potężny środek wypowiedzi artystycznej człowieka i podnoszenia szerokich warstw społecznych na wyższy poziom kulturalny, jest **samodzielnem** i poważnem zagadnieniem społeczno-kulturalnem. 2. Teatr Ludowy narówni z innemi inicjatywami społecznemi winien korzystać z wydatnej i skutecznej opieki moralnej i materjalnej czynników społecznych, rządowych i samorządowych. W szczególności zaś opieka **ta nie powinna być mniejsza** niż opieka, jaka jest udzielana teatrowi zawodowemu, gdyż teren działania, potrzeby i zadania społeczne teatru ludowego nie są mniejsze niż teatru zawodowego. 3. Naczelną reprezentacją teatru ludowego w Polsce jest Instytut Teatrów Ludowych i związane z nim organizacyjnie Regjonalne Związki. **Wszelka zatem pomoc państwa, samorządu i czynników społecznych dla teatru ludowego winna iść za pośrednictwem tych instytucyj i w ten sam sposób winna się odbywać współpraca tych czynników z teatrem ludowym.** Akcja Instytutu i Związków jest konieczna, gdyż bez działalności tych instytucyj teatr ludowy nie zdobędzie odpowiedniego repertuaru, nie będzie rozporządzał fachowo przygotowanymi kierownikami zespołów, nie zdobędzie całego szeregu koniecznych pomocy technicznych a co zatem idzie, **nie będzie mógł spełnić swej właściwej misji społeczno-kulturalnej. 4. Planowa akcja** w zakresie teatru ludowego (wydawnictwa, kursy, składnice przyborów teatralnych) **z istoty swej ma charakter odgórny.** Akcja ta zatem w swym początkowym okresie nie może być akcją finansowo samowystarczalną".. I t. d., i t. d.

„Oryginalny" program, prawda? To ma dźwignąć teatr w Polsce? Tak wygląda każda dziedzina życia społecznego, gdy dostanie się w ręce biurokracji. Banalne truizmy mieszają się tu (charakterystyczne „zatem") z jakąś żałosną urzędową nudą i tromtadracją. Nie, napewno takie rezolucje nie zrodziły teatru nigdy, ba, Wyspiański, gdyby znał ten tekst, wsadziłby go Stańczykowi w „Weselu". To jest, podkreślam, **ideowa** część rezolucji, trochę dłuższej i niestety, nie lepszej. Odwalanie urzędowych kawałków! Cały sens tej rezolucji: Kto poza Instytutem chciałby robić teatr, ten go nie może zrobić, bo tylko Instytut ma na to monopol, receptę, radę, środki, no i... urząd. Biedni i naiwni urzędnicy! **Jeśli coś naprawdę godnego uwagi na polu teatru w Polsce chłopi zmajstrowali, to tylko poza Instytutem!** Co ma Instytut wogóle do powiedzenia w sprawie chłopskiego teatru po takiej banalnej, mętnej rezolucji? Wstyd. I duże koszty. Niestety, koszty, które chłopi muszą płacić.

A przecież kierownikiem Instytutu Teatrów Ludowych jest Jędrzej Cierniak, który chyba mógłby coś o teatrze chłopskim powiedzieć, choćby jako autor „Franosiowej doli". Co robi tam Cierniak? Gdzie był Jędrzej Cierniak, gdy pisano i uchwalano tę dziecinną rezolucję? Nie rozumiem, dlaczego po stwierdzeniu, że teatr ludowy jest zjawiskiem powszechnem i żywiołowem, wypsnęło się jakiemuś maciupkiemu naszemu „goebbelsowi" berlińskie powiedzenie, że „planowa akcja w zakresie teatru ludowego **z istoty** swej ma **charakter odgórny"?** Czy nie lepiej, uczciwiej i jaśniej powiedzieć, że w Polsce istnieje wiele świetnych teatrów chłopskich i masa lichych i my, Instytut Teatrów Ludowych, chcemy pomóc tym świetnym teatrom (czy nieświetnym), aby mogły się rozwinąć i nie tylko nie będziemy hamowali **oddolnej pracy i inicjatywy** tych teatrów ale pomożemy im zwalczać lichotę, tandetę, szykany tępych jołopów i postawimy je przez przyjaźń i naszą pomoc na pierwszorzędnym poziomie i **tym sposobem przyczynimy się do odrodzenia teatru chłopskiego i robotniczego w Polsce.** Ale żeby tak powiedzieć, trzeba **mieć w głowie nowoczesny teatr,** trzeba mieć ideę nowego teatru ludowego w sobie, trzeba mieć program a nie tylko pieniądze, wpływy i urząd. Co zrobił Instytut Teatrów Ludowych w dziedzinie repertuaru? Ilu pisarzom chłopskim zaproponował napisanie sztuki scenicznej, rozprawy z zakresu teatru, artykułu? Ile ogłosił konkursów na sztukę, na projekt sceny, dekoracji, budynku teatralnego? Ilu wykształcił reżyserów? Ile ma teatrów, które bez wstydu może pokazać? Co zrobił w dziedzinie umasowienia sztuki teatralnej? A ile wydał pieniędzy?

Jedno mógłbym powiedzieć na obronę Instytutu. Wydaje on pod redakcją Cierniaka miesięcznik „Teatr Ludowy", wydał ładnie parę książek. Ale cóż to jest w porównaniu z dorobkiem innych organizacyj, pracujących **bez grosza subwencyj,** choćby porównać z pracą „Wici"? Przecież to jest przelewanie z pustego w próżne; po tylu latach istnienia Instytut doszedł do takiego „pogłębienia ideologji", że nie wynalazł niczego lepszego nad „receptę", jakoby poza Instytutem **albo wbrew niemu,** nie mógł powstać, istnieć i rozwijać się teatr ludowy. Teatr ludowy nie mógłby istnieć tylko wtedy, gdyby **przestał być teatrem,** jeśli jednak będzie dobrym teatrem to mu i Instytut nie zaszkodzi ze swemi przesadnemi pretensjami. Będzie istniał bez niego i wbrew niemu. I inaczej zresztą nie mógłby być dobrym teatrem. Więcej, teatrem wogóle! Byłby tylko naiwnym instytutem...

Marjan Czuchnowski

IZYDOR BERMAN

KRYTYKA CZYSTEJ FORMY

Gdy ktoś pogardliwie wyraża się o utworze pisanym prozą lub wierszem: „to literatura", ma na myśli dystans, jaki dzieli ten utwór od rzeczywistości życia, jego bezkrwistość, nieszczerość i w końcu szablonowość. Nie o takich utworach będzie mowa. Nie będę pisał o sztuczności, która upraszcza życie i wtłacza je w dogmatyczne, dawno wynalezione i zużyte estetyczne formuły.

Kant podjął się w „Krytyce czystego rozumu" trudu wynalezienia i zanalizowania form („kategoryj"), które uwarunkowują możliwość ukonstytuowania się w świadomości zmysłowego świata. Według Kanta do zasadniczych kategoryj, dzięki którym rzeczywistość staje się „możliwa", należą: czas, przestrzeń i przyczynowość. Zmysłowe bodźce (Dinge an sich) przejść muszą przez kategorje, które je szeregują, syntetyzują, kształtują. Sfera objektywnych bodźców plus subjektywne kategorje dają korelację, zwaną rzeczywistością. Tak postawionem zagadnieniem dokonał Kant przełomu („przebudzenia z dogmatycznego snu") w pojmowaniu danej człowiekowi rzeczywistości. Krytyczny realizm zajął miejsce realizmu naiwnego. Tak w najbardziej lapidarnym skrócie przedstawia się filozoficzny czyn autora „Krytyki czystego rozumu". Jest rzeczą jasną, iż wieloraka rzeczywistość nie jest objęta „krytyką" Kanta. Ustalone i sklasyfikowane zostały jedynie „formy" rzeczywistości.

Sztuka na swój sposób kształtuje nanowo świat rzeczywisty. W sztuce możnaby także odnaleźć kategorje, które ją **umożliwiają**, definjują, konstytuują. Pragniemy podjąć się takiej próby.

Będzie nam zatem chodziło o filtry, przez które musi przejść życie (tworzywo, surowiec), żeby stać się sztuką. Istnieje olbrzymi aparat środków artystycznych, których liczba z dnia na dzień wzrasta i które sprawiają, że dzieło literackie jest „sztuczne". Znane są te środki pod zbiorowemi nazwami, jak: s t y l i z a c j a, d e f o r m a c j a, k o n s t r u k c j a. Warto się tym środkom przypatrzeć bliżej, poznać je bardziej szczegółowo, i to z rozmaitych względów. Jest to więc wdzięczna analityczno-poznawcza praca, pozatem zaś — i to nas właśnie przedewszystkiem skłoniło do skreślenia poniższych uwag — można będzie tą drogą wykorzenić pewną, dosyć głęboko tkwiącą nieufność szerokich mas czytelniczych — do literatury pięknej. Nie rozumiejąc bowiem istotnego znaczenia większej części świadomie przez artystów stosowanych środków artystycznych (skrótów, skoków, przejaskrawień, „sztuczności"), które w określonych celach przekształcają, zmieniają, upiększają czy tragizują bliską, znaną wszystkim codzienność, dochodzą szerokie masy czytelnicze do przekonania, że literatura blaguje, że w życiu wszystko jest inne, że to t. zw. mrzonki poetów i t. d. Z takiego rodzaju wyrokami przychodzi nam spotykać się niemal codziennie. I nie trzeba dodawać, że w ten sposób osądzana jest nietylko literatura zła, t. j. papierowa, nawet najznakomitsze dzieło sztuki podlega u laików takim samym ocenom. Pomiędzy życiem a literaturą robi się grubą krechę, kopie się głęboką przepaść. Jest to oczywiście zgruntu fałszywe i dla literatury pięknej wielce krzywdzące stanowisko. A przecież literatura piękna jest istotnie „sztuczna". Ale w jakim sensie? Odpowiedź na to wieloaspektowe pytanie powinna wyjaśnić pewne czysto formalne zagadnienia pisarskie oraz pojednać czytelnika z istotnemi wartościami literatury pięknej, jako t. zw. zwierciadła życia.

Rzeczywistość (zewnętrzna jakoteż wewnętrzna, psychiczna) nie może zostać przeniesiona żywcem na papier, nietylko dlatego, że taka fotografja nie byłaby w sensie sztuki pełnowartościowa i efektowna (urzekająca), ale także dlatego, że jest to **fizyczną niemożliwością**. Pisarz nie może schwytać w sieć słów całej różnorodności rzeczywistego otoczenia, tak samo jak malarz nie może namalować drzewa, które miałoby tyle (w przybliżeniu chociażby) liści, co drzewo rzeczywiste. Pisarz **musi** dokonać wyboru, czyli musi mnóstwo rysów rzeczywistości opuścić, przeoczyć, świadomie eliminować. **Jest to pierwsze zasadnicze, nieuniknione prawo wszelkiej sztuki, a więc i literatury. Pierwszy najelementarniejszy stopień deformacji czyli przeistoczenia naturalnej rzeczywistości.** Gdy czytamy opis twarzy postaci powieściowej, chociażby najbardziej drobiazgowy, nie możemy sobie jednak tej twarzy z całą dokładnością uzmysłowić, a każdy czytelnik może sobie twarz tę imaginować dosyć dowolnie, na wzór i podobieństwo swoich wyobrażeń. Opis bowiem nie może nigdy być szczelny, a czytelnik pomiędzy rysy przez pisarza podane wtrąca rysy, które podsuwa mu własna wyobraźnia. To więc byłaby pierwsza i pierworodna „sztuczność" literatury. Pierwsza „kategorja" estetyczna.

Pisarz świadomy opuszcza mniej lub więcej tych rysów, stosownie do potrzeb podyktowanych artystycznym celem, a także zależnie od gatunku i skali swego talentu. Tak np. dla pewnych celów, powiedzmy satyrycznych (ale i innych) pisarz posługuje się schematem czy skrótem, wyrażając się „chudy jegomość z szpiczastą bródką" i nic więcej do charakterystyki tej osoby nie daje. Przez cały ciąg noweli czytamy tylko o tem, że „chudy pan z bródką" robi to lub owo, mówi to lub owo. Nie wiemy o nim czy jest niski czy wysoki, jakie ma oczy, czy ma wąsy, jak jest ubrany i t. d. Widzimy zatem: pomiędzy chudym panem z szpiczastą bródką a jakąkolwiek rzeczywistą postacią jest olbrzymia, nie do wyrównania, różnica. Tak jest. Ale też w tym utworze wygląd „chudego jegomościa" nie jest ważny, pisarz ma usprawiedliwione powody, dla których wybiera tylko dwie cechy swego bohatera. Autora w tym wypadku obchodzi **inna rzeczywistość, niemniej realna.** Rzeczywistość (powiedzmy) myśli lub sposobu bytowania „chudego człowieka", i tu autor będzie już bardziej dokładny, bardziej wszechstronny, bardziej do „faktyczności" zbliżony. Pisarz zaniedbując (dla określonych celów) jedną płaszczyznę rzeczywistości, wynagradza czytelnikowi tę „sztuczność" w innej, dla niego istotnej rzeczywistości. Okoliczność tę należy jak najdobitniej podkreślić, jest bowiem przez czytelnika często fałszywie rozumiana i prowadzi do nieufnego stosunku wobec dzieł literatury pięknej (bujanie!). Sytuacja pogarsza się gdy pisarz nietylko pewne rysy (lub ich większość) opuszcza, lecz gdy je przestawia czy przejaskrawia w zabarwieniu dodatniem lub ujemnem. Autor może wybrać jeden ujemny rys i spotęgować go do rozmiarów demonicznych (monomani Balzaka!), może wybrać rys dodatni i uanielić go. O ile mamy do czynienia z rzetelnym artystą, technika jego ma na celu uprzystępnienie, dobitniejsze zademonstrowanie, pewnej **realnej,** lecz mniej lub więcej **utajonej strefy ludzkiej psychiki.** Ten sam chwyt w skali o niebo niższej stosuje reklama, gdy powiększa dziesięciokrotnie ucho kukły, chcąc w ten sposób zwrócić uwagę na tę właśnie część głowy. Artysta postępuje — w najszlachetniejszej formie — podobnie jak szef reklamy, rzucając na pewne strony życia jak najwięcej światła reflektorów. Inaczejby ich czytelnik niekiedy i nie zauważył. W naszym wypadku żarówki, reflektory, zdjęcia powiększone lub pomniejszone odgrywają rolę artystycznych środków, ich zaś umiejętne stosowanie równa się twórczemu czynowi, który odkrywa sens i jądro świata, zwraca uwagę na istotę życia, podnosi je wysoko, żeby było widoczne w swej grozie i wzniosłości. **Artysta reklamuje życie.**

Trzebaby pokolei przejść wszystkie szkoły, prądy i epoki literackie, (klasycyzm, romantyzm, futuryzm i t. d.), żeby nagromadzić wszystkie środki, chwyty techniczne, sposoby i tricki, jakiemi utalentowani artyści i genjusze usiłowali zasugerować odbiorcy tę lub ową prawdę, o człowieku, tę lub inną postać życia i świata. To nie może być zadaniem jednego artykułu. Moje zamierzenie jest skromniejsze, lecz bardziej celowe, jeśli chodzi o wyjaśnienie, usprawiedliwienie i **wykazanie immanentnych konieczności, które decydują o „sztuczności" literatury.** Bo jeżeli jest rzeczą jasną i nie trzeba tłumaczyć, z jakich względów romantycy uszlachetniali i uanielali człowieka, dlaczego impresjoniści operowali półtonami, nastrojami, fragmentarycznością, symboliści zaś abstrakcjami bez krwi i kości, niezupełnie i nie każdemu będzie dostępna „sztuczność" (a raczej jej konieczność) we wszystkich gatunkach realizmu i autentyzmu. I tu dotykamy sedna sprawy. Pragnę dowieść, że najintensywniejszy realizm (naturalizm i t. d.), także nie może zrezygnować z deformujących środków artystycznych i że zatem, w tym sensie, musi być „sztuczny". Gdy zrozumiemy celowość i sekret tej sztuczności, przekonamy się, że służy ona poprzez wszystkie ramy, podpórki i transformacje — **życiu i prawdzie o życiu.** Trzeba tylko umieć rozróżnić kostjum od żywego i ciepłego ciała.

Najbardziej dziwną jest rzeczą, że realista zmuszony jest posługiwać się rozlicznemi chwytami właśnie **w celu zasuggerowania czytelnikowi zmysłowej rzeczywistości.** Tem tłumaczy się klęska przygodnych reportażystów. Sądzą oni, że wystarczy jak najwierniej opisywać (odpisywać!), ażeby dać dobry reportaż. Tymczasem rzeczywistość jest tak kapryśna, że można ją ukazać wiernie tylko przez pryzmat odpowiedniej deformacji, zbyt zaś wierny opis robi wrażenie chaotycznej informacji. Jeżeli tak jest w reportażu, to w o ileże większym stopniu prawo to obowiązuje w powieści, t. j. w literackiem dziele sztuki.

Pierwszem prawem sztuki jest zatem **selekcja.** Prawo to rządzi również najbardziej surowo pojętym realizmem, chociaż ujęte tu jest w karby większej dyscypliny, jeżeli chodzi o liczbę opuszczanych ogniw rzeczywistości, ich szeregowanie i t. d. Rzeczywistość występuje więc i w prozie realistycznej **w formie intensywniejszej i oczyszczonej z naleciałości,** mających w danym układzie rzeczy charakter przypadkowy i drugorzędny. **Selekcja** zaś **łączy się z zagadnieniem konstrukcji.** Żeromski wybiera np. parę elementów jesieni (spadające liście, mgła, zimny wiatr) i **konstruuje** z nich przejmujący pejzaż jesienny. Gdy się takiemu opisowi przypatrzeć, uderzy nas, że wiele cech jesieni pominięto, a można nawet powiedzieć, że im mniej będzie elementów zapożyczonych z świata realnego (sugestywnie tasowanych), tem obraz jesieni będzie mocniejszy. Będzie to oczywiście zależało od talentu pisarza, od jego zdolności w dobieraniu i konstruowaniu materjału, t. j. kilku szczegółów realistycznych. Gdy mowa o przyrodzie wystarczy Żeromskiemu przeciwstawić pejzaż Brunona Schulza, u którego na tle kilku realjów, opakowanych szeregiem abstrakcyjnych obrazów, z niesłychaną siłą oddany jest duch, sama jaźń jesieni czy wiosennego zmierzchu.

Zasada selekcji odnosi się w większym jeszcze stopniu do rysunku sylwetki psychologicznej postaci literackiej i jej życia. Autor opowiada nam np. o spotkaniu swego bohatera z kobietą w restauracji, potem zaś widzimy go z nią następnego dnia wieczorem w teatrze. Co p. X. robił w przerwie, nie wiemy. Autor musi przeskakiwać godziny, tygodnie i lata w życiu swych bohaterów. Wybiera z ich żywotów sprawy dla siebie najważniejsze i z nich składa prozę według swojej recepty, swoich upodobań i tendencyj literackich. A więc i życie bohaterów powieściowych jest w tem znaczeniu **konstruowane,** deformowane, skracane, uintensywniane. Przeskakiwanie faktów i okresów w życiu bohaterów i konstruowanie f zjonomij z dobieranych, ważkich plam, stoi w związku z drugim, obok prawa selekcji, istotnym motorem stylizacji artystycznej t. j. z rolą czasu.

Czas w literackiem dziele sztuki ma odmienne zgruntu oblicze od czasu rzeczywistego i walnie się przyczynia do zdeformowania kształtowanej rzeczywistości. Czas jako czynnik artystyczny w literaturze był już rozpatrywany z różnych punktów widzenia. Jego rola jest wielostronna. Czas działa w wielu kierunkach. Rolą czasu w kształtowaniu gatunków literackich (epika, dramat, liryka) zajął się w specjalnej rozprawie prof. Juljusz Kleiner, o roli czasu (jako wspomnieniu) w odtwarzaniu czasu minionego, zabarwiającego odpowiednio teraźniejszość (Proust!) pisał Boy-Żeleński. Pisano o różnicach pomiędzy czasem psychologicznym, fizykalnym, metafizycznym. Istnieje też **czas literacki.** Pojęcie struktury wymienionych „czasów" jest niezmiernie skomplikowane. W związku z naszem zagadnieniem chodzi o ustalenie roli czasu jako **czynnika konstrukcyjnego w dziele literackiem,** i to od strony dotychczas dosyć zaniedbanej. Czas powieści, także realistycznej, jest tak rzeźbiony, że zmienia z gruntu perspektywę wydarzeń. I to jest także jedna z przyczyn, dla której czytelnik silnie odczuwa fikcję świata literackiego i tak mało sobie tę ułudę — w porównaniu z realnem życiem — ceni. W ciągu sześciu godzin mogę poznać losy paru ludzi na przestrzeni dowolnej ilości lat. To już zupełnie inny wymiar, inny, nierzeczywisty, przekształcony świat. Z bogatych właściwości czasu korzystają umiejętnie pisarze dla wywołania artystycznych efektów.

Dla dzieła powieściowego doniosłe znaczenie mają takie fakty: **ile czasu trzeba na** przeczytanie pewnego rozdziału (lub tomu, gdy chodzi o cykl) powieści, ile czasu upływa od jednego wydarzenia do drugiego, oraz w jakim stosunku znajduje się **czas immanetny** powieści (np. akcja powieści trwa miesiąc) do **subjektywnego i objektywnego czasu** czytelnika (t. j. 1 wieczór lub sześć wieczorów lektury). Sprawy te należy oczywiście rozumieć w przybliżeniu. Przykład uprzystępni zagadnienie. Autor przedstawia np. rozmowę dwojga ludzi, przygodnych znajomych, którzy następnie tracą się z oczu (w „Buddenbrookach"). Mija wiele czasu, wypełnionego wydarzeniami w życiu obu bohaterów i podzielonego na tyle i tyle stron prozy. Para spotyka się po latach w nowej sytuacji, w nowych okolicznościach. Stwarza to silny efekt artystyczny (niespodziankę!) i daje pisarzowi możność wszechstronnego wyzyskania **napięć emocjonalnych,** które ujawniają się na tle minionego i teraźniejszego czasu. **Ta sama scena, niepoprzedzona pewną sumą nagromadzonego czasu** — wypełnionego akcją — **nie posiadałaby dostatecznej siły oddziaływania artystycznego. Proporcje** pomiędzy poszczególnemi częściami utworu literackiego (ich rozmiary i ilość skreślonych akcyj) mają ogromne znaczenie dla doskonałości formalnej dzieła. Jest to problem podziału czasu, problem czasu jako elementu konstrukcji, a więc deformacji świata realnego. **Wspomniane proporcje literackie różnią się od proporcyj czasu rzeczywistego i na tem polega m. inn. istota stylizacji i dystansu nieuniknionego pomiędzy literaturą a życiem.**

Jeżeli Joyce czy St. Zweig usiłowali dać życie człowieka w ciągu jednego dnia, wyczerpać je niejako, poświęcając — zwłaszcza Joyce — każdej minucie nieskończenie drobiazgowe analizy, nie zmienia to naszych ustaleń. I u nich zmienia się optyka faktów i tu czas występuje jako czynnik konstrukcyjny (deformator), ale w odmiennej roli. Jeżeli czas jest zwykle narzędziem komprymującem (szkło pomniejszające), u Joyce'a przedłuża on linje trwania, wydyma wydarzenia (szkło powiększające). W obu wypadkach realja dzięki elementom selekcji i literackiego czasu ujawniają się w formach artystycznie przeistoczonych.

Jeszcze jedno. Naczelną ambicją powieściopisarza jest zdobycie czytelnika, przykucie go, wciągnięcie w wir fikcyjnego świata. Romantyk czy ekspresjonista rozporządzają w tym wypadku bogatą skalą środków, które nie wchodzą w rachubę dla realisty. Przeciwnie, realista ma do przezwyciężenia jeszcze jedną trudność, wynikającą ze szczególnego charakteru jego metody artystycznej. Powstaje bowiem paradoksalna sytuacja, że pisarz realistyczny zmuszony jest **dla zneutralizowania deformujących** (ale koniecznych) **rzeczywistość środków, stosować środki nowe dla zasuggerowania czytelnikowi realnej rzeczywistości.**

Jest to zadanie trudne, stanowiące wielce zajmującą dziedzinę chwytów. Autor usiłuje narzucić czytelnikowi (za wszelką cenę, jeśli tak można powiedzieć) faktyczność opowiadanych przebiegów. Od chwili kiedy czytelnik znajduje się w klimacie psychicznym, jakgdyby wierzył w prawdziwość bohaterów i ich losów — autor wygrał. Tymczasem jest tak, że im autor jest rzetelniejszy, im bardziej gardzi blagą i tandetną pseudo-rzeczywistością, odpisujących czy fotografujących świat realny, albo spryciarzy posługujących się szablonami i nie mających oka (pomijając talent) dla tysiącznych kształtów pulsującego otoczenia — tem zadanie jego jest trudniejsze.

Balzac stosował metodę, którą z dzisiejszego punktu widzenia możnaby nazwać naiwno-realistyczną. Znane są początki powieści balzakowskich, np.: „Działo się to w jednym z owych dni letnich, kiedy wszystkie kobiety paryskie wybierały się do..." i t. d. — albo: „W czasie owej przerwy nocnej, kiedy w całym Paryżu następuje chwila całkowitej ciszy, przejeżdżał przez plac" i t. d. Jest rzeczą jasną, że mamy tu do czynienia z uogólnieniami bez pokrycia w świecie realnym. Autor dodawał jeszcze rok, w którym akcja się toczyła, aby utwierdzić czytelnika w wierze, że obraca się w sferze rzeczywistej. Takie naiwne środki nie mogą wystarczyć w sztuce realistycznej, jak my ją dziś pojmujemy.

Chwyt, o którym wspomniałem, polega na tem, że pisarz obok szerokiego syntetycznego traktu powieściowego — z precyzyjną, mikroskopijną dokładnością **opisuje trzeciorzędny szczegół.** Autor opisuje w szerokich rzutach jakąś postać, wiemy, że fikcyjną. Nagle zatrzymuje się przy krawacie, albo przy jakimś guziku, który nie jest dobrze przyszyty. Kształt guzika, kolor nitki, na której jeszcze wisi, są poddane bardzo drobiazgowej analizie. Nie uszło nawet uwagi autora, że kawałeczek guzika (mały trójkącik) jest odłamany. Opis takiego guzika, ruchu warg, lub jakiejś zmarszczki przy skroni — staje się punktem zwrotnym w percepcji czytelnika. Od tej chwili podważone zostają wątpliwości czytelnika, zaczyna on wierzyć w rzeczywistość postaci. Postaci zaczynają dla niego żyć i oddychać. **Bo jakże mógłby być nieprawdziwy człowiek, którego guzik tak dokładnie znamy?**

Na tym bardzo ważnym środku artystycznym kończę pobieżny przegląd kategoryj i środków pisarskich, może najważniejszych. Trudno je bowiem tu wyczerpać, zwłaszcza zaś systematycznie ująć. Pomijam oczywiście środki drobnoustrojowe, ściślej stylistyczne (porównania, figury, metafory, obrazy), nie tylko dlatego, że są zbyt oczywiste i często omawiane, ale także dlatego, że mając charakter raczej zdobniczy, mniejszą odgrywają rolę jako sposoby deformacyjne, o co nam głównie chodziło. Nie miałem tu wreszcie miejsca na cytowanie fragmentów prozy, ażeby zilustrować wysunięte teoretycznie tezy.

Gdyby rzesze czytelników zapoznały się bliżej z aparatem sposobów artystycznych stosowanych przez pisarzy, umiałyby lepiej dostrzegać ukryte za temi formalnemi sposobami: realne życie. (Żywe mięso pod kostjumem deformacyj). Zmniejszyłaby się też nieufność do literatury pięknej, tak bardzo rozpowszechniona. Czytelnik pojąłby, że „sztuczność" literatury to tylko jedna z metod głębszego wyczerpania rzeczywistości. Literatura piękna w najlepszych swoich manifestacjach jest zwierciadłem życia, lecz trzeba umieć w zwierciadło to patrzeć, a trzeba także odróżniać prawdziwe zwierciadła od fałszywych świecidełek, odbijających świat krzywo.

Brak głębszego zrozumienia dla tych spraw spotyka się także często u krytyków literackich. Wyraża się to w nieuzasadnionych atakach na pewnych pisarzy, ujawniających swoje treści w wielce zakonspirowanych konstrukcjach formalnych. Czyta się o nich, że są niepotrzebni, nawet szkodliwi, bo są oderwani od swego czasu, od potrzeb aktualnych doby i t. d. Atakują szczególnie krytycy ze szkoły t. zw. socjologicznej. Z ich strony zapewne i moja skromna próba nie spotka się z aprobatą. A przecież socjologiczny i formalistyczny punkt widzenia wcale się nie wykluczają. Przeciwnie. Obie metody razem uzupełniając się mogą dać pełny obraz wartości literatury.

ALDOUS HUXLEY

HISTORYCZNE UOGÓLNIENIA *)

Christopher Dawson nazywa swą rozprawę[1]) o czasach zamierzchłych „Wstępem do Historji Europejskiej Jedności“. Te słowa brzmią trochę ironicznie dla naszego ucha. Owa średniowieczna jedność kultury i religji, do której doprowadził Dawson w traktowanym przez siebie okresie czasu, nigdy nie przeszkadzała dobrym katolikom i Europejczykiem we wzajemnem podrzynaniu sobie gardeł. Możliwe, że chrześcijaństwo było jedno; ale w stanie ciągłej wojny domowej. Pytamy, co jest warta taka jedność czysto platoniczna? Jakie jest naprawdę znaczenie tego wyrazu? Historycy, w pewnej mierze przynajmniej, muszą być behaviourystami. Jeśli w danej epoce ludzie zachowują się tak, jakgdyby nie byli zjednoczeni, wówczas napewno społeczeństwo które tworzą nie można nazwać zjednoczonem. Bo czy jedność może się przejawiać we wzajemnem wyrzynaniu się, jako w czemś przypadkowem, a mimo to w swej istocie ma pozostać tem czem jest? Oto jest kwestja trudna do rozstrzygnięcia.

Możemy zgadzać się z Dawsonem w tem, że „odczuwamy znowu potrzebę duchowej lub przynajmniej moralnej łączności z drugimi“, możemy być niezadowoleni z „cywilizacji, która doszukuje się swej jedności w objawach pozornych i powierzchownych, ale zato pomija głębsze skłonności duchowej natury człowieka“; musimy jednak i to mieć w pamięci, że wspólnoty natury politycznej i ekonomicznej, chociaż „pozorne i powierzchowne“, mają znaczenie równe wspólnotom duchowym i kulturalnym. Naprawdę nie można o tych ostatnich powiedzieć, że istnieją bez tamtych (chyba w znaczeniu platonicznem i w pewnym sensie pickwickiańskiem). Jedność średniowiecznego chrześcijaństwa nigdy nie zamanifestowała się jako fakt znany z doświadczenia; wyrzynanie się i polityczne rozterki nie pozwoliły na taki przejaw.

Karta tytułowa książki Dawsona zatrzymała mnie zbyt długo. Teraz jest pora, by się zająć samą książką. Może ona zadziwić w całem tego słowa znaczeniu. Dzięki niej niewyspecjalizowany czytelnik potrafi, podążając za autorem, odnaleźć drogę wśród mrocznych krużganków czasu, które rozciągają się od upadku cesarstwa rzymskiego do podboju Anglji przez Normanów. Zamierzchłe okresy historji tracą swą zamierzchłość, przybierają na wyrazistości i znaczeniu. Dzięki erudycji Dawsona i jego darowi szeregowania faktów, poczynamy nabierać wyobrażenia, jak się ma sprawa z tem wszystkiem.

Książka jest krótka, traktowany okres czasu długi. Dawson musiał wybierać, streszczać i uogólniać, w tym celu, aby nas z pożądaną szybkością przeprowadzić przez wieki. Po największej części uogólnia on z umiarkowaniem i ostrożnością, godną jak najwyższego uznania. Nie spotykamy na kartach jego książki owych „głębokich“ metafizycznych hipotez, w tem znaczeniu w jakiem niektórzy współcześni historycy niemieccy interpretowali bieg minionych zdarzeń, w sposób irytujący i nie dający się uzasadnić. Dawson należy do rodzaju intelektualnych ascetów, którzy świadomie powstrzymują się od pofolgowania sobie w tak przyjemnych ale niebezpiecznych zarazem dowolnościach. Za to należy mu się pełna wdzięczność z naszej strony.

Niekiedy jednak dochodzi Dawson do uogólnień, z któremi ja (z całą skromnością nieuczonego dyletanta) nie mogę się zgodzić. Powiada np. tak: „Nowoczesny Europejczyk jest przyzwyczajony patrzeć na społeczeństwo jako na zaprzątnięte głównie życiem doczesnem i jego materjalnemi potrzebami, na religję zaś jako na czynnik, wpływający na życie moralne jednostki. Dla Bizantyjczyka natomiast i dla człowieka średniowiecznego w ogólności — społecznością podstawową jest społeczność religijna, a sprawy ekonomiczne i świeckie są drugorzędnego znaczenia“. Na poparcie tego cytuje Dawson, między innemi dokumentami, zdanie z pism Grzegorza Nazianczyka na temat zainteresowań, okazywanych przez jego współczesnych w IV w. dla teologji. „Wekslarz będzie z tobą rozmawiał na temat Poczętego i Niepoczętego, zamiast żeby ci wydać należne pieniądze, a jeśli zechcesz się ukąpać, łaziebny będzie cię zapewniał, że Syn Boży napewno począł się z niczego“. Dawson nie wspomina jednak o tem, że w innem zdaniu ten sam Grzegorz wyrzuca mieszkańcom Konstantynopola pasjonowanie się wyścigami kwadryg, —która to namiętność w czasach Justynjana, w półtora wieku później, doszła do takiej zapalczywości i manjactwa, że Zieleni i Błękitni wymordowywali się wzajemnie setkami, a nawet tysiącami. I tutaj znowu musimy zastosować probierz behaviourystów. Jeśli ludzie zachowują się tak, jakgdyby brali w czemś najżywszy udział — a trudno dać lepsze świadectwo naszego oddania się jakiejś sprawie, niż przez zabijanie i narażanie się na śmierć z jej powodu — wówczas musimy przyjąć, że to zainteresowanie jest szczere, o znaczeniu raczej podstawowem niż ubocznem. Naprowadzone tutaj fakty zdają się wykazywać, że niektórzy Bizantyjczycy namiętnie interesowali się zagadnieniami religijnemi, inni znowu (a może nawet ci sami) z niemniejszą pasją interesowali się sportem. W każdym razie zachowwali się w obu wypadkach jednakowo i byli gotowi ponieść śmierć męczeńską zarówno dla ulubionego dżokeja, jak i dla ulubionego artykułu w wyznaniu wiary św. Atanazego. Kłopot z tego rodzaju uogólnieniami co Dawsona jest przedewszystkiem w tem, że nie uwględniają faktu, iż społeczeństwa nigdy nie są jednorodne i że ludzie należą do rozmaitych gatunków mentalnych. To odnosi się nawet do pierwotnych społeczeństw, wykazujących maximum „skoordynowanej świadomości“ w stosunku do członków, z których się składają. W tym duchu antropolog Radin, dobrze znany ze swych prac pośród Czerwonoskórych, doszedł do wniosku, że wierzenia monoteistyczne są związane z pewnego rodzaju usposobieniem i że być może należy się spodziewać ich występowania i powtarzania się w określonych proporcjach, niezależnie od stopnia kultury. Jeśli to jest prawdą, (co się zresztą zgadza z naszem osobistem doświadczeniem w życiu cywilizowanem i z wynikami antropologicznych poszukiwań wśród ludów pierwotnych), cóż się wówczas stanie z uogólnieniami tego rodzaju co Dawsona? Oczywiście, upadają do gruntu. Nie można ferować wyroków na epokę, podobnie jak na naród.

W każdym okresie czasu jedni ludzie zajmują się przedewszystkiem sprawami „tamtego“, inni znowu „tego“ świata. Podstawowa różnica między religijną a niereligijną epoką jest, jak mi się wydaje, ta: że w epoce religijnej ci, których główne zainteresowania są przywiązane do spraw świeckich, mają skłonność do usprawiedliwiania ich przy pomocy teologji (Zieleni nienawidzili Błękitnych z tego powodu, że tamci nie byli ortodoksami, i naodwrót) oraz wynajdowania transcedentalnych motywów dla swych działań „z tego świata“. W epoce niereligijnej natomiast ludzie „z tego świata“ są na tyle wolni, że wierzą w wartość swoich zainteresowań co do ich istoty, podczas gdy ludzie z natury religijni są zmuszeni do oglądania się za świeckiemi usprawiedliwieniami (socjalnemi i politycznemi) dla swych pragnień „z tamtego świata“. Z socjologicznego punktu widzenia wyższość epoki religijnej nad niereligijną polega na tem, że w epoce religijnej ludzie mają znacznie mocniejsze motywy działania. Tylko szkopuł tkwi w tem, że nigdy nie można być pewnym, czy akcja podjęta dla celów religijnych będzie dobra czy zła. Charakterystycznego przykładu na podjęte z motywów religijnych działanie o walorze mieszanym — dostarczył pobożny Monseigneur Belzunce, który wyróżnił się w czasie wielkiego pomoru w Marsylji zarówno heroicznemi czynami chrześcijańskiego miłosierdzia, jak i oburzającą sekciarską nietolerancją.

Lyndowie i ich asystenci poświęcili osiemnaście miesięcy intensywnych badań na zebranie materjałów do ich klasycznego studjum o nowoczesnej społeczności przemysłowej, zatytułowanego „Middletown“. Ta społeczność, jak zdarzył przypadek, była szczególnie jednorodna; dociekania Lyndów wykazały, że ktokolwiek urodził się w Middletown z jakiemiś niezwykłemi zdolnościami korzystał z pierwszej nadarzającej się sposobności, aby wynieść się gdzieindziej. Mimo to, nawet w tem nieprzeciętnie wyrównanem pod względem jednorodności mieście, w badaniach trzeba się było natykać na wiele różnorodnych typów ludzkich, na wiele zasadniczo odmiennych poglądów na życie. Naturalnie dawał się tam stwierdzić pewien szablon postępowania, który — obliczając statystycznie — był normalny. Ale i odstępstwa od tej normy były godne zastanowienia. Każdy po przeczytaniu rozprawy o „Middletown“ staje się bardziej podejrzliwy w stosunku do uogólnień, wyprowadzanych przez historyków, na temat charakteru i umysłowości ludzi w przeszłych wiekach. Bo na czem bywają te uogólnienia oparte? Na udokumentowaniu od początku niewystarczającem, a jeszcze uszczuplonem przez ząb czasu do przypadkowego zbioru piśmiennych i archeologicznych resztek i skrawków. Jako sformułowane tezy na temat przeszłości mają też tego rodzaju uogólnienia wątpliwą wartość. Trzeba je zawsze przyjmować „cum grano salis“; w najlepszym razie bywają tylko pół- lub trzyćwierci- prawdami. Jeśli mają jaką wartość, to tylko jako bodźce, które nas pobudzają do myślenia o czasach obecnych. Historja, polegająca na uogólnieniach, jest odnogą filozofji spekulatywnej, powiązanej (niekiedy trochę arbitralnie i w sposób niepokojący) z pewnemi faktami z przeszłości. Warunki się zmieniają, każda epoka musi myśleć własnemi kategorjami. Dopóki nie będzie definitywnie ustalonego porządku na świecie, nie może być mowy o takiem zjawisku, jak ustalona i trwała wersja historji ludzkości.

przełożył Marjan Promiński

*) „Historical Generalizations“, essay z tomu: „The olive tree“. The Albatross 1937.

[1]) „The Making of Europe“ (Powstanie Europy) by Cristopher Dawson. London, Sheed and Ward, 1932.

WSPOMNIENIE O H. TRUSZKOWSKIM

Kiedy przed kilku laty klasa robotnicza obchodziła 50-lecie „Proletarjatu“, pierwszej polskiej organizacji socjalistycznej, było przy życiu zaledwie paru świadków narodzin ruchu rewolucyjnego w Polsce. Należał wówczas do nich Hieronim Truszkowski, który na łamach „Kroniki ruchu rewolucyjnego w Polsce“ (nr. 5 styczeń—marzec 1936 r.) skreślił swe wspomnienie o Ludwiku Waryńskim, płomiennym trybunie i ofiarnym przewódcy „Proletarjatu“. Dnia 21 stycznia b. r. zmarł w Warszawie po dłuższej chorobie ten ostatni pionier ruchu socjalistycznego. Życie jego stanowi ciekawą kartę w dziejach ruchu socjalistycznego w Polsce.

Urodzony 23. I. 1855 roku w Białej Cerkwi na Ukrainie, Truszkowski był kolegą gimnazjalnym Ludwika Waryńskiego, Brzezińskiego i inn., z którymi stworzył w gimnazjum białocerkiewskiem pierwsze kółko socjalistyczno radykalne. „Odłam ten — pisał o tem kółku później Truszkowski — nie był żadną organizacją, były to tylko luźne jednostki, które zbliżało do siebie hołdowanie radykalnym hasłom pchnięcia życia na inne tory“.

Od teoretycznych rozważań i lektury dzieł socjalistycznych młodzież ówczesna przerzucała się do pracy agitacyjnej wśród robotników i chłopów. W r. 1874 młody Truszkowski objął posadę nauczyciela prywatnego nad granicą rumuńską i często wyruszał na wieś dla szerzenia ideologji socjalistycznej wśród chłopów. Policja carska wytropiła go i przez niedaleką granicę rumuńską udał się Truszkowski do Lwowa, gdzie po nauczeniu się fachu introligatorskiego zbliżył się do środowiska robotniczego. Niedługo potem został Truszkowski aresztowany w Krakowie i zasiadł wraz z L. Waryńskim i towarzyszami na ławie oskarżonych pierwszego procesu socjalistycznego w r. 1880. Akt oskarżenia zarzucał Truszkowskiemu udział w spisku rewolucyjnym i obrazę majestatu. Na pierwszem posiedzeniu sądu krakowskiego w dn. 16. II. 1880 r. po dłuższem przemówieniu Ludwika Waryńskiego, wyjaśniającem, że „socjalizm wszędzie jest wynikiem naukowej krytyki społecznego ustroju“, zeznawał Truszkowski oświadczając, że „co do przekonań zgadza się w zupełności z temi, które Waryński wypowiedział, że więc uważa za konieczne dla szczęścia ludzkości, by wszystkie narzędzia pracy stały się własnością mas. Do mas tych zalicza on wszystkich pracujących; co zaś do właścicieli dóbr, osób piastujących wysokie urzędy (a więc i cesarza — wnioskuje tutaj przewodniczący) tych zalicza on do klasy używającej“ (według drukowanego opisu w wyd. „Z pola walki“, Londyn, 1904, str. 68 i inn.).

Na podstawie werdyktu ławy przysięgłych sąd krakowski w dn. 16. IV. 1880, w dwa miesiące po rozpoczęciu rozprawy, uwolnił oskarżonych od zarzutu zbrodni zakłócenia spokoju i skazał Truszkowskiego na 5-cio dniowy areszt oraz wydalenie z granic państwa austrjackiego. Wydalony do Szwajcarji, udał się Truszkowski do Genewy, gdzie gromadziła się podówczas liczna emigracja socjalistyczna, tutaj też zetknął się z Bolesławem Limanowskim oraz uczestnikiem powstania styczniowego i komuny paryskiej gen. Walerym Wróblewskim. Z Genewy przeniósł się do Berna i wstąpił na wydział lekarski uniwersytetu.

Trawiony gorączką czynu udał się w 1882 r. razem z Marją Jankowską i Stanisławem Mendelsonem do Poznania celem rozwinięcia akcji socjalistycznej. Zadenuncjowany przez klerykalne pisemko „Orędownik“ został z towarzyszami aresztowany przez policję pruską i skazany na 4 lata ciężkiego więzienia, które odbywał w Plötzensee pod Berlinem.

Po odbyciu kary został Truszkowski wydalony do Rosji i wydany w ręce żandarmów rosyjskich, którzy go osadzili w X pawilonie cytadeli warszawskiej w r. 1885.

W więzieniu był autorem licznych wierszy rewolucyjnych, m. inn. ułożył marsz pogrzebowy („Kajdanów złowrogich rozlega się jęk“). Z braku dowodów został zesłany administracyjnie na 3 lata na Sybir. Po powrocie z zesłania udało mu się wydostać zagranicę, gdzie pozostawał do wojny.

Truszkowski należał do zdolnych agitatorów socjalistycznych, pracujących szczególnie wśród chłopów. Napisana przez niego pod pseudonimem „Toporek“ niewielka książeczka wierszowana p. t. „Pogadanka Kuby z Janem. Opowiadanie ludowe wierszem“ doczekała się dwóch wydań i była znana w pracy agitacyjnej wśród chłopów. Pierwsze wydanie tej książeczki ukazało się w 1883 r. w Genewie jako wydawnictwo „Proletarjatu“, drugie zaś wydanie ukazało się w Warszawie w 1892 r. W latach ostatnich swego życia, w cichem zamknięciu domowem, nie przestał Truszkowski zajmować się sprawami aktualnemi. Zwłaszcza utkwił w mej pamięci jego serdeczny stosunek do krwawiącej się Hiszpanji Ludowej, do której to często sięgał swym starczym wzrokiem.

W przeciwieństwie do licznych późniejszych działaczy rewolucyjnych w ciągu swego całego życia pozostawał Truszkowski wierny swej ideologji, sprawie wyzwolenia proletarjatu. Do niego też niewątpliwie można odnieść słowa dumnej pieśni rewolucyjnej o tych „co w walce widzieli swą cześć“.

Michał Szulkin

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

ZIEMIA

Gdy — wieczór, pola coraz dalsze. Maciej
Spożywa już wieczerzę, ale w dłoni,
Co trzyma łyżkę, jeszcze złotem dzwoni
Rytm żniw dzisiejszych.
Tuż przy jego chacie
Cichną jabłonie i grusze garbate.
Milczenie. Niebo wielkie i skrzydlate.
Żaby już w stawach rechoczą, lecz ciszy
Nie płoszy rechot zielenią wilgotną,
Ale jej tylko w zmierzchu towarzyszy,
Lejąc się według trzcin kołysu w ciemność.
Na niskie chaty, na drogę samotną
I na ogrody schodzi biała senność.
Nagle śmiech jasny dziewcząt przy oborze
Wznieca w powietrzu najgłośniejszą zorzę
I znowu cicho. Tylko żab litanja
Omszone płoty do modlitwy skłania.
Maciej śpi. Ciężko, jak owoc na sadzie,
Czerwony chłeb i czarny węgiel kładzie
Na jego oczach różne barwy swoje,
Straszne i piękne.
Liście niespokojne
Szumią za oknem. Jeszcze jedna chwila,
A już wysoka noc na ziemię spływa —
To moje ciemne serce się pochyla
Nad moją ziemią, tonącą w siwiźnie
Mgieł i mnie gorycz zatruwa żarliwa,
Że jestem sam — bez ojczyzny w ojczyźnie.

R. FREUERMAN

ŚMIERĆ JUN-FA-FU

Jun - Fa - Fu wszystkie czterdzieści lat swego życia przeżył nad brzegiem rzeki. A chociaż rzeka ta szeroka nie była, jej głos donośny bez przerwy się rozlegał przed domem Jun - Fa - Fu. Dniem i nocą biegła ona z gór w dolinę, którą zwano Doliną Żółtej Ziemi. Wody rzeki także były żółte. Ale jak wszystkie wody, dniem błyszczały słońcem, nocą zaś były ciemne.

Jun - Fa - Fu był prostym człowiekiem o twardej twarzy i zgrubiałych dłoniach. Dłońmi temi jednak mógł on zrobić wiele rzeczy — mógł wyciąć grzebień z jaszmy, znajdowanej w górach, mógł wykuć czarę z miedzi, wcale nie gorszą od sprzedawanych w mieście U-Tayi, gdzie niegdyś nauczał Budda.

Najbardziej jednak Jun - Fa - Fu lubił siać pszenicę i ryż. Gdy zaś brakło dla nich ziemi na brzegu, budował tratwę na wodzie i zasypywał ją gliną, żółtym mułem, który znosił w płaskich koszach.

Jego dom także był zbudowany w glinie.

Ale nie trzeba sądzić, że Jun - Fa- Fu było w nim źle, że kiedykolwiek czuł się w nim niedobrze. Latem panował w tym domku miły chłodek, zimą było ciepło, a przy wejściu do jaskini podtrzymywały sklepienie różne słupy, wycięte z mocnej morwy. Ściany zaś Jun-Fa-Fu codzień zwilżał wodą, nadając im połysk.

Ale do Szan-si, do jego kraju, wtargnęli wrogowie — Japończycy.

Byli oni okrutni. Na tym i na tamtym brzegu spalili wsie, a ojca i dwóch synów Jun - Fa - Fu zabili. Wtedy Jun-Fa-Fu zabrał ze sobą strzelbę i poszedł w góry do partyzantów. I chociaż była ona tylko trochę lepsza od tej, którą po raz pierwszy zrobił człowiek, Jun-Fa-Fu stał się niebawem straszny dla wrogów.

— Jun-Fa-Fu — rzekł mu jego dowódca — ukryj swe ślady, schowaj swe ciało i idź spowrotem do tej okolicy, którą zajął wróg. Dobrze znasz te strony. Swoją zaś strzelbę zostaw narazie nam.

Jun-Fa-Fu stał się wywiadowcą. Ukrył swe ślady, schował ciało, przestał nawet widywać się z przyjaciółmi. Imię jego zato znienawidzili wnet wrogowie. Nie mieli oni dnia bez strat: pociągi waliły się z nasypów, a każdy ruch wojska był znany partyzantom.

Aby uchronić swe linje komunikacyjne, wróg musiał się cofnąć. Porzucił jeden brzeg rzeki, by chociaż drugi uchronić. Ale i tam Jun-Fa-Fu nie dawał mu spokoju.

Wtedy za głowę jego obiecano nagrodę. Długo jednak po nią nikt nie przychodził. Któregoś dnia wreszcie żołnierze przyprowadzili do majora Tasimara nie Jun-Fa-Fu, ale jego sąsiada, koreańczyka, młynarza Tsoi-Nam-Gii.

— Zwróć, o panie, uwagę na moją nędzę i łaskawie wysłuchaj mego ubóstwa — rzekł, nisko kłaniając się młynarz, — ubiegłego roku Jun-Fa-Fu ściął drzewo morwowe, które rosło na mej miedzy. Dzisiaj zaś słyszałem, że przed nocą ma on tu przepłynąć przez rzekę. Ale nic więcej o Jun-Fa-Fu nie wiem. I jeśli za to należy się nagroda, to być może na nią zasłużyłem.

— I to wszystko, z czem przyszedłeś do mnie? — zapytał major.

— Wszystko — odrzekł młynarz.

— Zatem ty nic mi nie powiedziałeś, a chcesz otrzymać nagrodę. Przecież Jun-Fa-Fu wiele razy przepływał przez tę rzekę. Ale pływa ona zapewne jak węgorz, ponieważ nie możemy go schwytać. Wynagrodzę cię jednak, jeśli mi opowiesz o wszystkiem, co lubił czynić Jun-Fa-Fu, gdy żył w swoim domu.

— To ci mogę powiedzieć — pośpieszył z odpowiedzią młynarz. — Bardzo wcześnie, gdy cień mego młyna jeszcze ukośnie spoczywa na wodzie, lubił on motyką kopać swoje pola. Lubił także deszcz: poranny i wieczorny. Lubił brać z ziemi dzieci i sadzać je sobie na ramiona, a nawet syna mego brał na ręce, chociaż surowo tego zabraniałem.

— No i proszę, a sam mówiłeś, że nic nie wiesz o Jun-Fa-Fu. Wiesz przecież o nim bardzo dużo — rzekł, uśmiechając się major. — Idź, powiedź żołnierzom, by przyprowadzili do mnie twego syna.

— Pocóż ci mój syn? — zapytał Tsoi-Nam-Gii z trwogą: bo któż wie, o czem myśli major Tasimara, gdy się uśmiecha.

Ale major nie odpowiedział.

I ponieważ zęby majora były długie i krzywe, jak u łasicy, Tsoi-Nam-Gii cofnął się, o nic więcej nie pytając, i skłonił się jeszcze niżej.

* * *

Jun-Fa-Fu długo siedział, ukryty w trzcinie, otoczonej zewsząd rzeką.

Ciepła woda tuliła jego piersi i ciało, a twarz owiewała świeżość, bo już nadchodził wieczór.

Tak cicho siedział Jun-Fa-Fu, że maleńkie ptaszki, żółte jak osy, siadały obok niego na trzciny, a czas płynął bez zmian. Zrzadka tylko wpatrywał się w brzeg przeciwległy; tam byli wrogowie. Ale teraz nie było widać ani jednego żołnierza w białych getrach. Jun-Fa-Fu cieszył się z tego. Czekał on mgły, gdy spadnie na wodę, a górskie sroki polecą do swych gniazd na nocleg. Wtedy zanurzy się w rzekę i wśród ciemności bezszumnie ją przepłynie. Ale narazie stał bez ruchu i patrzył na wysokiego żórawia, stojącego w trzcinach równie nieruchomo jak on. Był to święty ptak, koloru ołowiu i popiołu, a z głowy zwisały cienkie, białe pióra, podobne do siwych włosów starca. Jun-Fa-Fu przypomniał sobie swego starego ojca, zabitego przez wrogów, i zapłakał, bo był człowiekiem prostym i uważał, że martwych trzeba opłakiwać, a żywych kochać.

W tej chwili usłyszał cichy dźwięk, biegnący od rzeki. Ni to głos kobiecy, ni to słaby plusk wioseł.

Rozsunął grubą, rzeczną trawę, kryjącą go jak kurtyna, i spojrzał.

W dół, z prądem, na środku rzeki płynęła łódka rybacka. Dygotała na wodzie jak liść, zdarty wiatrem z iwy. Kobieta, stojąca w czółnie źle niem kierowała. Jedną ręką trzymała wiosło, drugą przyciskała dziecko.

— Ależ ona utonie — pomyślał Jun-Fa-Fu i spojrzał, czy ktoś nie śpieszy jej na ratunek. Ale nikogo nie było widać.

Czółno tymczasem zaczęła zalewać woda, a kobieta coraz mocniej przyciskała do siebie dziecko, broniąc je przed śmiercią. Dziecko cicho płakało.

— Czy to nie głos syna młynarza Nam-Gii? — pomyślał Jun-Fa-Fu. Raptem czółno się przechyliło i kobieta z dzieckiem padła do rzeki.

To co uczynił Jun-Fa-Fu było mimowolnym odruchem serca. Ramieniem rozsunął wodę, pchnął ją nogą i po dziesięciu uderzeniach rąk był już obok czółna. Szeroko rozwartą dłonią chwycił dziecko i podniósł ponad wodą. A kobiecie krzyknął:

— Trzymaj się mnie mocno!

Podpłynęła doń, chwytając ręką za czółno.

I w tejże chwili Jun-Fa-Fu poczuł potężny cios tasaka.

Krzyk dziecka, które znowu padło do wody, rozległ się nad Żółtą Rzeką, a z brzegu odpowiedział mu drugi, równie donośny krzyk. To krzyczał młynarz Tsoi-Nam-Gii, patrząc na śmierć swego syna.

A Jun-Fa-Fu, zachłystując się, tracąc krew i przytomność, pomyślał:

— To nie była kobieta. Złapali mnie, jak łapią drozdy w sidła.

Niebawem sprowadzili go, jeszcze żywego do majora Tasimara.

— Czy to on? — zapytał Tasimara młynarza Tsoi-Nam-Gii.

— Tak, to on — odrzekł młynarz, opłakujący swego syna.

— Teraz to możesz otrzymać nagrodę — rzekł doń major z uśmiechem.

I zanim jeszcze górskie sroki odleciały na noc do gniazd, zabito Jun-Fa-Fu pod ścianą jego domu.

Major Tasimara rzekł przytem swoim przyjaciołom:

— Nasze czasy, to nasze czasy, a nie czasy naszych ojców. Złapałem go tylko dlatego, że trzeba znać miarę i cenę wszystkiego.

A Jun-Fa-Fu z poderżniętem gardłem leżał nawznak na żółtym ile, z którego niegdyś zbudował swój dom i dobywał swój chleb, a dłonie jego zwrócone były do ziemi, jak dłonie człowieka, który przyzwyczaił się do motyki, a twarz była zwrócona do nieba, nie mającego żadnej miary swej głębokości.

Zrana zaś żołnierze rzucili trupa Jun-Fa-Fu do rzeki. Wiatr z góry Iń-Szań, nie budząc fal, cicho pędził je w dół razem z prądem.

Ale szybciej niż wiatr płynęła wieść o śmierci Jun-Fa-Fu.

Rybacy ze wsi San-Czżoi znaleźli jego ciało i zabrali je, niosąc kamienistą ścieżką w góry; tam do powstańców szli coraz to nowi ludzie znad rzeki.

Tutaj, blisko cichej, górskiej świątyni, wśród kwiatów, wiśni i brzoskwiń pochowano Jun-Fa-Fu. A na grobie skreślono tuszem te jasne znaki męstwa:

„Jego imię sławne nie jest obojętne nikomu“.

przełożył Seweryn Sosnowski

PAJĄK

Henri Troyat. L'araigne. Paryż, Plon 1938.

„Nie, bezpłodne poszukiwanie nie uśpiło jego podejrzeń. On wiedział. On to wyczuwał. Ale kto? Jeden z jego przyjaciół? Lequesne był w Anglji. Vigneral miał już kogoś. Huralt... Raczej chodziło o jakiegoś ucznia Ecole du Louvre...“ Gerard Fonseque chciałby jak pająk zaplątać swoich najbliższych w gęste sieci, zamknąć im wyjście na świat, raczej udusić, niż pozwolić im odejść. Gerard czyni „jak pająk, który obraca dobre mięso w truciznę“, miast snuć nić własnego życia, któreby umiał zapełnić swą dolą i niedolą, dzieloną z kimś, kogoby wybrał za jego wolą i zgodą. Snuje brudne pajęczyny, mające omotać jego trzy siostry, tak je uwięzić, aby nikt nie wyrwał ich z jego życia.

Już we wspomnieniach dzieciństwa tkwił w nim ten koszmar, już wtedy nienawidził tych, którzy zbliżali się do jego sióstr, wywoływali uśmiech na ich wargach, rozjaśniali ich oczy. Ktokolwiekby to był, był nienawistny, jeśli stawał między nim a jego siostrami.

Konflikt wyolbrzymił się z biegiem lat. Gerard przeżywa tragedję, gdy pierwsza z sióstr wychodzi zamąż. „Przedwczoraj przechadzał się bez płaszcza, bez czapki na deszczu, w godnej nadziei przeziębienia się. Obecnie przekraczał 39 stopni. Ale czegóż nie zniósłby, aby zaoszczędzić sobie widoku Luce wchodzącej do kościoła“. Luce znika z domu, pozostawiając puste miejsce przy stole i jeszcze większą lukę w sercu brata. Gdy druga z sióstr rwie się aby podzielić życie z mężczyzną, Gerard nie waha się poniżyć do kłamstw, szpiegowania i intryg, byle odwieść ją od tego zamiaru, byle jej nie stracić. Ponosi klęskę i wtedy cały nietrwoniony zapas chorobliwego uczucia przelewa na najmłodszą. Bez niej nie potrafiłby już żyć, tak jak kiedyś nie wierzył, że będzie istniał, nie słuchając ich sprzeczek, ich płytkiej, ale uszczęśliwiającej go paplaniny, nie wdychując woni ich perfum i pudru. One były dla niego wszystkiem. Chorowity młodzieniec, wróg kobiet, wołający za Nietzschem: „Koty, oto czem są zawsze kobiety! Koty i ptaki, albo w najlepszym razie krowy!“, nie umiał istnieć bez kilku kobiet, które otaczały go od dzieciństwa. Jedna po drugiej opuszczały dom, aby szukać na świecie miłości, znajdowały ją taką, jakiej chciały, albo jaka im w danej chwili szła w szeroko otwarte dłonie. Tylko on nie miał odwagi jej szukać. Uważał kobiety za mało warte, czuł do nich wstręt, wiedział bowiem dobrze, jak mało sam był dla nich wart. „Jesteś brzydki. Czuć ci z ust. Nie możesz podobać się nikomu“ — rzuciła mu bezlitośnie w twarz jedna z tych, któremi gardził. Tak, ale jego siostry miały o b o w i ą z e k go kochać.

Gerard nie może i nie chce pogodzić się ze zdradą najmłodszej. Znowu gorączkowo tropi ją jak pies myśliwski, rewiduje jej szuflady, szuka mężczyzny, który już zabrał mu ostatnią, choć go nie pytał o pozwolenie. Ogarnia go manja, tonie w najczulszych wspomnieniach przywiązania siostrzanego, to znów pragnie zemsty najbardziej okrutnej, zawistnem okiem patrzy na szczęście najstarszej, z odrazą odwraca głowę od kołyski jej dziecka. Zżera go zazdrość. Drży przed chwilą, która nadejdzie, gdy dzwon kościelny w dniu ślubu Marie Claude wybije początek samotności, powrót do pustki, bezgłośnych pokoi, jednego nakrycia na stole.

Przychodzi ta chwila. „Wyobrażał sobie swoje siostry, matkę, patrzyły na niego, mówiły do niego i nie zajmowały się niczem i nikim, prócz niego. Nie było więcej mężczyzn ani w domu, ani na ulicy, ani wogóle nigdzie. Nikt nie mógł mu ich zabrać. Nikt nie mógł go ich pozbawić. A one nie pragnęły innej radości jak tylko służenia mu i kochania go. Smutna słodycz podeszła mu do gardła“.

Takiemi słowami maluje Henri Troyat punkt kulminacyjny tragicznego, bezużytecznego, bezradosnego życia Gerarda.

Gerard — pająk zaplątuje się sam w swe sieci. Miał zamiar symulować samobójstwo, aby znów nagromadzić wokół swego łóżka całą rodzinę, zająć sobą wszystkich, stać się ośrodkiem zainteresowania, ale organizm bardzo osłabiony uległ w walce z minimalną dawką trucizny. „Ranek był spokojny. Słońce wchodziło przez szeroko otwarte okno. Było słychać szum fontann na placu des Vosges. Ulicznicy wrzeszczeli. Spokojny uśmiech odprężył twarz nieszczęśliwego. Szepnął: — Co zrobisz jutro Marie Claude? Potem głowa stoczyła się na poduszkę i nie wypowiedział już do końca ani słowa. Umarł o czwartej popołudniu. Żałoba opóźniła o parę miesięcy ślub Vignerala i Marie Claude“.

Postać „pająka“, który zniweczył możliwości, jakie życie otwiera przed każdym z nas, jest mistrzowsko haftowana od pierwszego do ostatniego pociągnięcia.

Niema tu zbytecznego gadulstwa, tryby powieści nie próżnują, pędzą żywo akcję do celu.

Tragiczny Gerard stwarza w powieści chorobliwą atmosferę, kwestjonuje każde uczucie, każdą radość, z wszystkiego ściąga strojną suknię i odsłania nagość bezlitośnie. Nie wypuszcza nas dla nabrania do płuc świeżego powietrza, ciągle przebywamy w mieszkaniu, w zadymionym lokalu nocnym lub w kącie nieuczęszczanej cukierenki. Ciągle z bankrutem życiowym.

Henri Troyat otrzymał za swą niezmiernie interesującą powieść nagrodę Goncourtów.

Ludwika Obrowiczówna

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

* * *

Słoneczna ziemio mazowiecka, ty
Z całą urodą szarą i zieloną,
Jak pierwsze młode niespodziane łzy:
Płoną, lecz nie wiesz czemu w oczach płoną.

Sto razy chciałem złamać twardy krąg
Miłości bezwzajemnej, bezradosnej,
Lecz serce musi wracać do twych łąk,
Jak żóraw do ujrzanej w dali wiosny.

Tu wszystko bliskie: pochylenie chat
I lot ogrodów po błękitnem niebie
I pług, i chleb, i mgła, i dal, i kwiat,
I człowiek, co nie znalazł jeszcze siebie...

Teatry warszawskie

Przeróbka sceniczna „Pani Bovary“, jaką na otwarcie nowego teatru Malickiej przygotowała Z. Nałkowska, biegnie naogół utartym dla takich transkrypcyj szablonem. Dążąc do zachowania wierności wobec oryginału, biorą z powieści to, co jest w niej dane w pozornie udramatyzowanej już postaci, t. j. dialog; conajwyżej uzupełniają go inscenizacją tych partyj, w których powieść, nie reprodukując słów, referuje choćby przebieg rozmowy. Stąd obowiązującą niemal w takich transkrypcjach formą jest podział na krótkie migawkowe sceny, choć jest on czasem (jak np. w „Pani Bovary“) bardzo odległy od epickiej formy powieści; i stąd też klęska tego typu przeróbek. Rola bowiem dialogu w powieści i dramacie jest zgoła inna. Dramat cały rodzi się w dialogu, w nim narasta i w nim się rozwiązuje; dialog nie jest tu ilustracją procesu, lecz procesem samym, cała wewnętrzna treść przeżycia i łańcucha przeżyć wyładować się musi w wypowiedzi. To narzuca dialogowi scenicznemu prawa swoistej dynamiki, a szeregowi dialogów prawa wewnętrznej ciągłości; tymczasem rozmowa w powieści przeważnie prawom tym się nie poddaje. Często spełnia tu ona rolę jedynie dodatkowej ilustracji, finałowego akcentu wewnętrznych procesów przygotowanych uprzednio lub momentu otwierającego procesy następne; znaczy ona punkty zwrotne akcji, dodaje jej barw — lecz jej nie posuwa. Toteż transpozycja sceniczna oparta jedynie na dialogowanych cytatach pozbawia utwór owej niezbędnej ciągłości, zamiast linji rozwojowej ukazuje jedynie nieruchome obrazy etapów: to tak, jakbyśmy zamiast poruszeń tancerza na filmie oglądali rysunki tanecznych figur.

Dramat pani Bovary pozostał więc także za kulisami; to co przedostało się na scenę, nie pozwala nawet na jego rekonstrukcję. Jest spłycony, pomniejszony o całą tę treść wewnętrzną, która u Flauberta nie mieści się w dialogu: samo już opuszczenie rozdziału o młodości Emmy uniemożliwia zrozumienie tej postaci; tak samo np. niezaznaczenie roli operacji Hipolita w życiu Emmy usuwa możliwość zrozumienia jednego z najistotniejszych jej przełomów. W rezultacie przedstawienie, mimo szczęśliwego rozwiązania trudności inscenizacji, w innych punktach musiało zawieść.

Dialog Szaniawskiego, podobnie jak u Czechowa jest przedewszystkiem instrumentem do wygrywania subtelnych nastrojów. Brano dawniej za złe Szaniawskiemu, że tych nastrojów szuka śród poetyckich abstrakcyj; nowa jego sztuka pozornie schodzi na ziemię, rozgrywa się w rzeczywistym świecie, a raczej na pograniczu dwu rzeczywistych światów: „starej“ i „nowej“ wsi. To jednak tylko pozory; w przedstawieniu wsi starej nie wychodzi Szaniawski poza krąg jej lirycznych wyobrażeń, sięgając niemalże do mickiewiczowskiego Jankiela; dla nowej sięga po równie literackie figury nowoczesnego ziemianina Wielorzeckiego, hodującego premjowane jałówki, jego narzeczonej Anki, „dziewczyny z lasu“, niczem rittnerowska Hania robiącej karjerę wbrew uczuciu, — i zapijaczonego wiernego sługi — gajowego. Prawda, jest jeszcze i młody kłusownik, niegdyś kochanek Anki, reprezentujący niejako „tamtą stronę barykady“, głos dzikiego, surowego instynktu. Trudno to wszystko uważać (jak chcieli niektórzy) za obraz dzisiejszej wsi, choćby nawet oglądanej przez okno dworu. Co gorsza, niezależnie od tych wykrzywień perspektywy, to „zejście na ziemię“ nie posłużyło Szaniawskiemu i w innym kierunku. Stanowczo lepiej się on czuje śród swoich marjonetek, których nie trzeba przyoblekać w żywe ciało. Dramat „Dziewczyny z lasu“ rozgrywa się w płaszczyźnie uczuć i instynktów: Anka, odmiennie niż rittnerowska Hania, w decydującej chwili załamie się, rzuci Wielorzeckiego i wróci do swego kłusownika — do lasu. Ale na to, by sprzeczać się z autorem o takie rozwiązanie, wiemy o Ance zbyt mało: nie znamy drogi, jaką doszła do narzeczonego ani miary jej wyrzeczeń; nie znamy jej **charakteru** — i dlatego nie możemy brać udziału w jej walce wewnętrznej. I to jest istotna cecha twórczości Szaniawskiego, utrudniająca mu „schodzenie na ziemię“: widzi on tylko uczucia, nie dostrzega charakterów, a dyspozycje społeczne przenosi w plan oderwanych instynktów. Ten brak zaciążył niewątpliwie i na scenicznej wyrazistości dramatu, z którego zespół Ateneum nie mógł wykrzesać więcej ognia, niż mu dał autor.

I znów prawem smutnego paradoksu akcenty aktualności odzywają się o wiele żywiej w sztuce sprzed lat zgórą pięćdziesięciu. Kiedy po Marsyljance, kończącej prolog „Madame Sans-Gêne“ unosi się kurtyna, ukazując pyszne salony księżnej gdańskiej, trudno powstrzymać się od wielu złośliwych analogij; a niemało ich znajduje publiczność i w dalszych perypetjach komedji. Ale bo też trudno nie podziwiać kunsztu, z jakim napisana jest ta komedja; któż dziś tak potrafi pisać sztuki? Ileż tu przemyślnego sprytu w każdym dialogu, ile majsterstwa w każdym efekcie! Zapewne, dzieło to raczej majstra niż mistrza; ale gdzież dziś szukać majstra, któryby pozwolił tak „wygrać się“ Eichlerównie? Jeśli jest w tej komedji za wiele może aptekarskiej wiary i chłodnego rzemiosła, ta wielka artystka swoją nieopisaną brawurą, odczuciem każdego półtonu, wyzyskaniem wszystkich ukrytych w roli możliwości twórczych czyni z niej dzieło rzetelnej sztuki.

Jerzy Pański

PRZEMYSŁAW BRZESKI

„Fołksfrontowe“ myśli Romana Dmowskiego

żart historji. Tytuł tego artykułu nie jest żartem. To tylko wielki dialektyk — historja lubi płatać figle ideologom i mężom stanu wypowiadającym sądy sztywne, oparte na przesłankach uważanych przez nich za niezmienne. Figiel wypłatany przez historję najmądrzejszemu ideologowi polskiej reakcji jest zarazem niewinny i przez to właśnie tem bardziej bolesny. Podawał on swoim zwolennikom do wierzenia namiastkę wielkich myśli, półprawdy i ćwierćprawdy oparte na brakujących lub fałszywych przesłankach. Wiele z tych półprawd i ćwierćprawd Dmowskiego historja wypełniła nową treścią i nowem życiem, wzmacniając ich logiczną konstrukcję nowemi wiązaniami, wstawiając brakujące przesłanki, urealniając fikcyjne założenia, czasami przekształcając fałsz polityczny w prawdę, nie mającą również waloru absolutnej, ale niewątpliwą dla okresu historycznego, który przyszedł. Stając się pełnemi prawdami zarazem straciły one jednak swoje znaczenie oręża ideologicznego polskiego nacjonalizmu, przeciwnie zaczęły nieraz służyć propagandzie i ideologji nienawistnego „fołksfrontu“. Z powodzeniem możemy sobie wyobrazić, że Roman Dmowski stanął przed jakimś międzynarodowym trybunałem reakcji, oskarżony o świadome czy nieświadome przemycanie miazmatów „fołksfrontowych“ do ideologji polskiego nacjonalizmu.

Stosunek do imperjalizmu niemieckiego. Oskarżenie zarzuciłoby Dmowskiemu przedewszystkiem jego długotrwały, wrogi stosunek do imperjalizmu niemieckiego. Gdy Dmowski formułował swoją odpowiedź na pytanie, kto jest głównym wrogiem narodu polskiego, przynajmniej jedna z przesłanek jego rozumowania była fałszywa lub tylko połowicznie prawdziwa. Przesłanka ta brzmiała: Rosja nie jest naprawdę niebezpieczna dla przyszłości narodu polskiego. Kiedy rewolucja rosyjska i wkroczenie Rosji na drogę wewnętrznych przemian ustrojowych wbrew spodziewaniu wyprostowało skrzywione nieco rozumowanie, półprawda okazała się prawdą: odrodzony imperjalizm niemiecki pozostał na placu, jako jedyny poważny wróg narodu polskiego, jego wolności i samodzielności.

Któż mógł jednak przewidzieć, że ta teza stanie się głównym argumentem „fołksfrontu“ w dziedzinie polityki zagranicznej, któż mógł przewidzieć, że Niemcy hitlerowskie staną się twierdzą, wzorem i skarbnicą ideologiczną międzynarodowej reakcji, że między innemi i nasz rodzimy faszyzm, wywodzący się z ideologicznego pnia obozu Dmowskiego, będzie musiał czerpać pełną garścią z zasobów pomysłowości socjologicznej hitleryzmu?

Wytłumaczeniem „wsypy“ ideologicznej Dmowskiego wobec międzynarodowego trybunału reakcji może być tylko jedno: został on urzeczony rzekomą potęgą niemieckiej socjal-demokracji, nie przewidział katastrofalnego załamania się jej polityki. Spodziewał się raczej, że Niemcy będą i po wojnie przez długie lata ogniskiem międzynarodowego socjalizmu. Niebezpieczeństwo socjalizmu zlewało się w jego wyobraźni z niebezpieczeństwem imperjalizmu niemieckiego i stwarzało przyjemną choć pozorną harmonję pomiędzy narodową a klasową świadomością polskiego nacjonalisty.

Historja jednak zakłóciła tę harmonję potężnym zgrzytem. Odtąd obóz polskiego nacjonalizmu znalazł się w ustawicznym konflikcie pomiędzy sumieniem narodowem a głosem sympatji dla największej twierdzy reakcji na świecie.

Dmowski przeciw Monachjum. Drugi żart historji, który jest tylko drugiem ogniwem łańcucha przyczynowego, uczynił z Romana Dmowskiego przeciwnika polityki Monachjum i Berchtesgaden. Nie możemy powstrzymać się od przytoczenia słów mistrza. Posłuchajmy, jak gromi on Chamberlaina i Bonneta, jak melodja jego słów przypomina melodję „podżegaczy wojennych“, melodję De Kerilisa, oskarżonego przez brukowce nacjonalistyczne o wysługiwanie się Rosji Sowieckiej:

„W życiu wewnętrznem państwa rząd, który chce za wszelką cenę uniknąć użycia siły, ustępuje najwięcej przed tymi, którzy najgłośniej krzyczą i najbezwzględniej go prowokują, ustępują wbrew prawu i poczuciu sprawiedliwości i tą drogą doprowadza do zburzenia spokoju społecznego, do zanarchizowania kraju. To samo można robić w życiu międzynarodowem. Starając się ułagodzić żywioły najbardziej natarczywe, najgłośniej protestujące przeciw istniejącemu, usankcjonowanemu traktatami stanowi rzeczy, najwyraźniej przygotowujące się do naruszenia tego stanu z bronią w ręku, obiecuje się im lub przynajmniej pozwala oczekiwać, że żądania ich mogą być zaspokojone; w wypadkach zaś użycia gwałtu uznaje się dla zachowania pokoju fakt dokonany, co stanowi do dalszych gwałtów zachętę. Tą drogą wytwarza się stan wzrastającej coraz bardziej niepewności położenia międzynarodowego, co pociąga za sobą zbrojenie się zagrożonych i wzrasta z przerażającą szybkością prawdopodobieństwo wybuchu wojny na tym czy innym punkcie, wojny, która przy dzisiejszych zazębieniach stosunków międzynarodowych może się bardzo łatwo rozszerzyć i szereg państw ogarnąć“. („Anglja powojenna i jej polityka“, Warszawa 1926, str. 95-96).

Wypowiedź Dmowskiego musimy uważać za jego pośmiertny protest przeciw przedstawieniu Chamberlaina do nagrody pokojowej Nobla. Tem bardziej, że, rzecz znamienna, autor wypowiadał swe słowa pod adresem polityki angielskiej. I radzimy każdemu reakcyjnemu neoficie pacyfizmu, aby głęboko zastanowił się nad temi słowami.

Sąd Dmowskiego z r. 1926 oparty był na przesłance połowicznie tylko prawdziwej. Wówczas Niemcy nie były tem samem, czem są dzisiaj. Ich zdolność do szantażu politycznego nie była poparta siłą militarną skoszarowanego państwa. Ich osiągnięcia polegały raczej na nieco podstępnem wyzwalaniu się z istotnie krzywdzącego pod niejednym względem jarzma, nałożonego przez traktat wersalski, nie były jednak jeszcze wyrazem nienasyconej zaborczości.

Historja oddała pełną sprawiedliwość logice Dmowskiego. Ale dziwnie musi się czuć niejeden ideowy jego spadkobierca w uściskach tej logiki.

Sprawa Czechosłowacji i granicy polsko-węgierskiej. Gdy nasza prasa nacjonalistyczna zachłystywała się tak niedawno klęską Czechosłowacji wobec Niemiec, jako wielkiem zwycięstwem polskiej racji stanu, a niewątpliwy sukces, jakim było odzyskanie Śląska Zaolziańskiego pozwalał jej zamykać oczy na niemieckie okrążenie od południa, należałoby jako motto tych wszystkich artykułów wydrukować następujące zdanie mistrza:

„W naszym interesie leży, żeby Czechy istniały, żeby były możliwie silne, byle nie naszym kosztem, żeby wytworzyły jak najpewniejszą zaporę przeciw posuwaniu się niemczyzny na południe. Jesteśmy o wiele większym od nich narodem, mamy o wiele większe widoki, jako państwo i brak szerszej myśli u nas byłby o wiele większym grzechem. Tylko mali Polacy, którzy dotychczas nie rozumieją, co to jest Polska, mogą pchać do nieustannej kłótni z Czechami. Nie mówię o agentach niemieckich, bo ci mają całkiem wyraźne w tym względzie zadanie“. („Polityka polska i odbudowanie państwa“, Warszawa 1925, str. 254).

I później, gdy niewątpliwy fakt wzmocnienia imperjalizmu niemieckiego starano się zatuszować stawianiem na konia węgierskiego, przydałyby się jako motto inne słowa Dmowskiego:

„Myśmy mieli tradycje przyjaznych stosunków z Węgrami wtedy, kiedy byli uciskani przez Austrję, sympatje nasze były po ich stronie, ojcowie nasi walczyli w powstaniu węgierskiem. Od czasu wszakże, gdy sprawa węgierska zwyciężyła, gdy Węgrzy zorganizowali się państwowo, jako połowa monarchji habsburskiej, gdy z drugiej strony, przy nowym ustroju politycznym, poczuli się zagrożeni przez ruch emancypacyjny wśród Rumunów, Słowaków i Serbów — zrozumieli, że uratować ich może tylko ścisły związek z Niemcami, naturalnymi wrogami odrodzenia narodowego ludów doliny Dunaju. Węgrzy byli głównymi twórcami sojuszu monarchji habsburskiej z cesarstwem niemieckiem, na nich się on silniej niż na Niemcach austrjackich opierał i widoczne było, że w położeniu, w jakiem się znajdują, nie tylko są, ale muszą być zawsze najpewniejszymi sojusznikami Niemców w Europie. Tem samem musieli być wrogami Polski. Dawali nam oni od czasu do czasu zdawkowe objawy przyjaźni, ale polityka węgierska była w istocie przeciwpolska... Chciałbym, ażeby z tego dobrze sobie u nas zdawano sprawę, ażeby rozumiano, że wszelkie zjawiające się u nas próby wywołania zbliżenia do Węgier, poparcia ich ambicyj na Słowaczyźnie, czy gdzieindziej, nie są niczem innem, jak robotą dla Niemiec, robotą przeciwną najwyraźniejszym interesom naszego narodu...“ („Polityka polska i odbudowa państwa“, Warszawa 1925, str. 247—248).

Niech te cytaty stanowią dokument, że nieprawdziwy jest pogląd tryumfalnie reprezentowany przez leaderów starej endecji, a podtrzymywany z przeciwnych motywów również przez t. zw. lewicowych piłsudczyków, jakoby to wyłącznie obóz rządzący stoczył się do poziomu endeckiego pojmowania interesu narodu i państwa. Widzimy wcale znaczne ustępstwa wzajemne.

Historja znów spłatała figla nieusposobionym dialektycznie ideologom polskiego nacjonalizmu. Pod naporem wstrętu do demokracji atakowali jej bastjon w Europie Środkowej, postawili na konia, o którym przypuszczali, że najpewniej doniesie do mety reakcji.

Nie chcemy przez to powiedzieć, że tezy Dmowskiego, tak żywotne w okresie zeszłorocznego kryzysu, zachowały swoją prawdziwość i w obecnych zmienionych warunkach. Historja nie poprzestaje zazwyczaj na jednym figlu, a zaskoczonym przeciwnikom dialektycznego ujmowania dziejów płata nowe, zanim zdołają się przystosować do nowej sytuacji. Zwasalizowanie Czechosłowacji przez Niemcy, totalizm na Słowaczyznie i Rusi Podkarpackiej, obecny kryzys dyktatury w Jugosławji i pierwsze symptomy niezadowolenia z wytworzonej sytuacji na Węgrzech (narazie zresztą przesłonięte przez fakt przystąpienia Węgier do paktu antykominternowskiego) mogą odwrócić sytuację w tej części Europy.

I chcielibyśmy wtedy widzieć miny obecnych przyjaciół latyfundjalnych Węgier.

Sprawa żydowska. Rozumowania Romana Dmowskiego w sprawie żydowskiej nie są wcale tak proste, jakby się to napozór zdawało. Antysemityzmu nie uzasadnia on ani w sposób rasistowski, ani w sposób wyznaniowy. Przeciw niemieckiemu rasizmowi w jego przedhitlerowskiej postaci znajdziemy niejeden grom w dziełach Dmowskiego. W obliczu tych zdań pełnych rozsądku i trzeźwości jakimż upadkiem myśli nacjonalistycznej w Polsce jest bezkrytyczne powtarzanie bredni rasistowskich.

Co więcej, nawet antysemityzm gospodarczy nie stanowił podstawy wyjściowej Dmowskiego w sprawie żydowskiej. Przekazał on tę stronę sprawy Romanowi Rybarskiemu podług kompetencyj. Sam Dmowski ujmuje sprawę żydowską raczej od strony swojej umiłowanej specjalności — polityki międzynarodowej. Głównym wrogiem Polski jest imperjalizm niemiecki. Żydowstwo światowe jest ekspozyturą gospodarczą, kulturalną i polityczną niemieckiego imperjalizmu. Nadto istnieją wszelkie podstawy do przypuszczenia, że i w przyszłości interes Żydów będzie polegał na obronie i wzmacnianiu niemieckiego imperjalizmu. Wobec tego zadaniem nacjonalizmu polskiego jest zwalczanie wpływów żydowskich.

Mimo takie sformułowania nie udało się Dmowskiemu ustrzec przed pewnym judeocentryzmem. W jego oczach Żydzi są nie tylko wszędobylscy, ale są istotnymi inspiratorami wszystkich niemal sprzecznych posunięć politycznych. Żydzi popierają Niemcy w wojnie światowej. Żydzi są współautorami traktatu wersalskiego. Żydzi wywołują rewolucję bolszewicką w Rosji. Ci sami Żydzi przygotowują przeciwsowiecką interwencję (pp. Studnicki i Mackiewicz nie domyślają się nawet, że są lub byli narzędziem wszechświatowego żydowstwa).

Zostawmy jednak na boku tę nieszkodliwą fantazję. Ważniejsze jest to, na co zwrócimy uwagę prostaczkom antysemityzmu, że nadrzędną tezą Dmowskiego, która poniekąd określa jego stosunek do sprawy żydowskiej, jest niebezpieczeństwo niemieckiego imperjalizmu. Nacjonalista, nieopanowany zupełnie manją judeocentryzmu, musiałby z tej hierarchji zagadnień wyciągnąć w zmienionych warunkach znamienny wniosek. Historja znów spłatała figla. Międzynarodowe żydowstwo stało się jednym z głównych ośrodków oporu przeciw niemieckiemu imperjalizmowi. Jeżeli tedy niebezpieczeństwo niemieckie zajmuje pierwsze miejsce w hierarchji niebezpieczeństw, grożących narodowi polskiemu, lojalny spadkobierca Dmowskiego powinien wyciągnąć wniosek, że międzynarodowe żydowstwo w zmienionych warunkach stało się sojusznikiem narodu polskiego. Oto do jakich konsekwencyj prowadzi rozwinięcie podstawowego syllogizmu.

Cóż na ten zarzut oskarżenia odpowie obrona Romana Dmowskiego przed trybunałem międzynarodowej reakcji? Odpowie może, że istotnie na terenie międzynarodowym interesy światowego żydowstwa i polskiego narodu w świetle teorji Dmowskiego wydawałyby się zbieżne. Jednak sytuacja wewnętrzna państwa, jego spoistość i siła wymagają bezwzględnej walki z Żydami. Walkę tę prowadzi obecnie polski nacjonalizm wszelkich odcieni w imię testamentu Romana Dmowskiego. Zajrzyjmy jednak do tekstu testamentu. Zobaczmy, jak przedstawia się pogląd Dmowskiego na wpływ antysemityzmu na sytuację wewnętrzną carskiej Rosji.

„Zastój wewnętrzny Rosji i wynikająca stąd bierność ekonomiczna ludności nie pozwalają współzawodniczyć skutecznie z Żydami, co tem bardziej musiało budzić antagonizm do nich i oglądać się na pomoc rządu, na prawa wyjątkowe. Toteż w okresie, kiedy prawne ograniczenia Żydów w innych państwach należały już do przeszłości, kiedy byli oni już równouprawnieni w Królestwie Polskiem (nastąpiło to za rządów Wielopolskiego), Rosja weszła na drogę ciągłego zaostrzania praw wyjątkowych... Rząd wypowiedział walkę bezwzględną sześciu miljonom ludności przedsiębiorczej, ruchliwej, silnej solidarnością rasową, wyznaniową, robiąc z niej swych zawziętych wrogów. Coraz bardziej krępowani w swych ruchach, coraz gorzej się czujący w zacieśnionych pętach, a jednocześnie zdobywając nowe siły przez postęp oświaty w swych szeregach — Żydzi musieli coraz bardziej stawać się fermentem niepokoju w państwie, inicjując i zasilając ruchy polityczne, dążące do rozsadzenia uciskającego ich ustroju. Coraz większa liczba wybitnych spośród Żydów jednostek zasilała opozycję rosyjską i ruch rewolucyjny, a cała masa żydowska odnosiła się ze zrozumiałą do tych ruchów sympatją. I w tej więc dziedzinie system rządów wytworzył kwestję, zaostrzającą się w niesłychanie szybkiem tempie i przyczyniającą się w coraz większej mierze do rozsadzania ustroju państwowego“. („Niemcy, Rosja i kwestja polska“, Lwów—Warszawa, 1914, str. 178—179).

Podający się za ucznia Dmowskiego poseł Stoch z O. N. R. i inni niefortunni projektodawcy ustaw wyjątkowych dla Żydów mogliby się zastanowić nad temi słowami mistrza. Dałyby im dużo do myślenia. Nasza ocena ich zdolności do logicznego rozumowania prowadzi jednak do pesymistycznego wniosku. Prędzej chyba powezmą cichaczem konkluzję, że mistrz polskiego nacjonalizmu znajdował się nieświadomie pod wpływem masonerji i żydokomuny, niż przyznają, że wprowadzenie praw wyjątkowych dla Żydów stanowi politykę samobójczą nawet z nacjonalistycznego punktu widzenia.

Inne narodowości. Poglądy Romana Dmowskiego stanowiły pewną zwartą, logiczną całość. Nie jego to wina, lecz dialektycznego rozwoju historji, że można z nich obecnie wyciągnąć „fołksfrontowe“ wnioski. Klasy posiadające polskie odwróciły się naogół od głoszonych przez Dmowskiego koncepcyj w polityce zagranicznej. Ale odrzucając jego koncepcję polityki zagranicznej, przyjęły bez zastrzeżeń jego stosunek do spraw narodowościowych w Polsce, zwłaszcza do sprawy ukraińskiej i białoruskiej. Prawdziwi ambasadorowie Dmowskiego, możnaby powiedzieć, kształtują realnie ten stosunek z rezydencyj kresowych. Ale Dmowski, głosząc program asymilacji i wynarodowienia, nie docenił z krótkowidztwem właściwem nacjonalizmom świadomości narodowej młodszych od nas narodów. Przecenił siłę żołądka naszego nacjonalizmu, który miał strawić pokrewne organizmy. W tej dziedzinie historja nie spłata Dmowskiemu figla. Ale obawiamy się, że jej oblicze jest za bardzo chmurne.

ROOSEVELT

Emil Ludwig. Franklin Delano Roosevelt. Studjum o szczęściu i władzy. Przełożył **St. Łukomski.** Warszawa, „Rój“, 1939; str. 291 i 13 nl.

Wielką choć przykrą przysługę oddaje tej książce porównanie z „Rozmowami z Mussolinim“. Ludwig wielbił przecież Mussoliniego i jego technikę władzy, a opublikowanie rozmów, odbytych w celowo teatralnej sali Pałacu Weneckiego przysporzyło rzymskiemu dyktatorowi niejedno znamię wielkości w łatwym, powojennym czasie haussy na opatrznościowych „führerów“. Rasistowskie kopje Il Duce z drugiej połowy osi przyczyniły się zapewne niemało do zmiany orjentacji Ludwiga, widzącego swoje książki na płonących stosach. Podejrzenia o merkantylizm i kupiecki zachwyt w tworzeniu wokół Roosevelta aureoli wszystkich cnót demokracji mają tu znaczne możliwości uzasadnień. Dziwnie bowiem jednakowe było bicie serca Ludwiga, wchodzącego przed paroma laty do rozległych komnat Pałacu Weneckiego i Ludwiga, wstępującego do zacisznych, nie chronionych przez wojsko lub szturmówki izb White House.

Wytrawny, zawodowy biograf dobrze przecież uchwycił różnice między Wilsonem, synem anglikańskiego pastora, rozszerzonemi źrenicami chłonącym w dni i noce czcionki książek, różnice między ciężkim półmrokiem komnat pastora i tomami filozofji, wytyczającemi drogi życiowe jego syna, a dzieckiem farmera, potomka holenderskich osadników, wzrastającem nad Hudsonem, na wsi, w polowaniach i żegludze zdobywającem praktyczny, radosny stosunek do życia; w tem porównaniu najostrzej wyszły rysy charakteru Roosevelta, zamazane w „humanitarnie“, zbyt psychologicznie potraktowanych linjach działalności prezydenta jako męża stanu, w skąpej ilustracji nacisku sił zewnętrznych na jego politykę. Upajające wszakże pociąganie nosem przy każdym zapachu amerykańskiej demokracji razi, a tkliwość i nabożne rozwałkowywanie szczegółów z życia Roosevelta za często sąsiadują obok nuty goryczy, zawodu najświeższej daty w stosunku do europejskich dyktatorów.

Silne, piękne wrażenie sprawia sparaliżowany rozdział życia dwukrotnego dyktatora z woli ludu. Przypomina zwyciężającego mimo kulawej nogi Tamerlana, walczącego mimo srebrnego ramienia Krystiana Brunszwickiego, rządzącego w niemocy artretycznej Filipa II, jednookiego, jednoramiennego, pozbawionego snu i władzy w jednej nodze bohatera wojen morskich XIX w. Nelsona. W losie Roosevelta, usiłującego narzucić przemysłowi i finansjerze „deklarację praw gospodarczych człowieka“, dostrzega autor historyczne cienie trudnego losu przyjaciół ludu, występujących przeciw swej własnej klasie — hr. Mirabeau, który chciał ratować przed uderzeniem obucha rewolucji arystokrację, choć obca była mu także skrajna lewica, — Grakcha, Cezara, Marjusza; uprzedza jednak już w przedmowie wątpliwości czytelnika co do prób trafnego biografizowania postaci żyjących: obraz „Szczęście, przemiana, władza“ nie może mieć wykończeń biografji pośmiertnej, ale też nabiera cech swoistych przez „żywe odbicie w sercach wrogów i przyjaciół“. 2/3 książki jest niepolityczne, 2/5 jeszcze nienapisane. Pisze je i będzie pisał przecież sam Roosevelt, wpływać będzie na nie historja, że trudno przewidzieć choćby tytuły tych ostatnich dwu piątych życia wielkiego prezydenta i małego dyktatora.

Franciszek Gil

O cechach rasowych Żydów

Zespół redakcyjny czasopisma „Polityka“ wydał broszurę p. t. „Polska idea imperjalna“. Książeczka porusza aktualne zagadnienia wewnętrznej i zewnętrznej polityki Polski, m. inn. i sprawy mniejszościowe.

Na siedmiu stronach autorzy zamknęli problem żydowski, deklarując się jako zdecydowani antysemici. Rozwiązanie kwestji żydowskiej widzą **w przymusowem i bezwzględnem usunięciu Żydów z Polski.** Dla osiągnięcia tego celu proponują wywarcie zdecydowanej presji we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego, aby coraz **szersze masy żydowskie traciły środki egzystencji** i zmuszone były do szukania zarobków poza granicami kraju.

Swą politykę antysemicką autorzy broszury uzasadniają przesłankami rasowemi: 1) Żydów nie można traktować równorzędnie z innemi mniejszościami narodowemi w Polsce z powodu „specyficznych właściwości rasy żydowskiej“; 2) „specyficzne właściwości rasy żydowskiej nie pozwalają jej uważać za trwały element ludnościowy“; 3) w stosunkach z autochtonami Żydzi kierują się zasadami etyki niemożliwemi do przyjęcia dla społeczeństw chrześcijańskich.

Ta postawa autorów broszury nasuwa myśl o potrzebie głębszego oświetlenia problemu owych „specyficznych cech rasowych“ żydowstwa.

Nie mam zamiaru ułatwiać pracę antysemitom. Niech nie maskują swych przyziemnych aspiracyj handlowo-konkurencyjnych płycizną pozorów „naukowości“ i „wyższej etyki“.

* * *

Zmarły niedawno wybitny teoretyk socjalizmu Karol Kautsky napisał w 1914 r. rozprawę p. t. „Rasa a Żydowstwo“. Głębokie to studjum socjologiczne, które i dziś nie straciło swojej aktualności, stanowi druzgocącą krytykę tych niepoważnych „argumentów“ rasologji antysemickiej. Zreferuję i rozwinę krótko te poglądy.

Kautsky bada problem specyficznych cech rasy żydowskiej pod kątem fizycznych, fizjologicznych i duchowych właściwości Żydów. Do rzekomo specyficznych cech fizycznych Żydów należą: charakterystyczny wygląd nosa, ciemna barwa włosów, skóry, oczu i budowa czaszki.

Antropolog niemiecki Fischberg — opowiada Kautsky — przeprowadził badania nosów wśród Żydów, zamieszkujących kraje Europy Wschodniej i Zachodniej, jakoteż Żydów w Ameryce, przybyłych z rozmaitych części Azji. Na 2836 dorosłych Żydów i 1284 dorosłych Żydówek w Nowym Jorku wypadło, że

		% Żydów	% Żydówek
nos równy, grecki posiada	—	57,3	59,4
nos zadarty posiada	—	22,0	13,9
nos płaski, szeroki posiada	—	6,4	14,0
nos krzywy posiada	—	14,3	12,7

Zatem tylko 13—14 procent Żydów rozporządza nosem krzywym t. zw. żydowskim. Do tego samego rezultatu doszli antropolodzy, którzy przeprowadzili badania nosów wśród Żydów w dawnej Rosji carskiej i Austrji. Stwierdzono także, że krzywy nos jest bardzo rozpowszechniony wśród tubylczej ludności w Zachodniej Azji, nad Morzem Śródziemnem i wśród Indjan. Np. w zapadłych dolinach alpejskich nos „żydowski“ jest bardzo typowy dla ludności i po nim można poznać człowieka alpejskiego — „homo alpinus“!

Katolicka ludność starej Bawarji wykazuje 31% mieszkańców, obciążonych krzywym nosem. Ciekawe jest spostrzeżenie Fischberga, iż nosy Żydów mają tendencję do przystosowania się w swym kształcie do nosów otaczającej ich autochtonicznej ludności chrześcijańskiej. Tak np. Żydzi bawarscy mają procentowo silniejszy kontyngent nosów orlich, aniżeli Żydzi z innych stron. Szerokie nosy znajdują się częściej wśród Żydów Północnej Afryki, aniżeli wśród Żydów Europy Wschodniej. Nos zadarty natomiast można najczęściej znaleźć wśród Żydów, zamieszkujących kraje o ludności słowiańskiej.

Przechodząc do następnej cechy rasowej Żydów — barwy włosów, oczu, skóry — Kautsky zaznacza ironicznie, że gdybyśmy mieli ją uważać za szczególne znamię żydowstwa, musielibyśmy wszystkich Europejczyków, którzy nie są blondynami uważać za Żydów.

Nielada jednak kłopot mieliby nasi rasolodzy z Żydami — blondynami o niebieskich oczach. Wśród 4235 Żydów w Nowym Jorku

		% Żydów	% Żydówek
typy brunetów stanowią	—	52,6	56,9
typy blondynów stanowią	—	10,4	10,3
typy mieszane stanowią	—	37,0	32,8

Zatem typ brunetów, uważany za charakterystyczny dla Żydów, zredukowany jest u mężczyzn mniejwięcej do połowy.

I znowu powtarza się ten sam fakt: tam gdzie ogół ludności chrześcijańskiej stanowią w większości blondyni, tam i Żydzi dają znaczny odsetek blondynów. Np. ilość Żydów-blondynów w Anglji wynosi 25%, w Niemczech 30% dzieci żydowskich to dzieci jasnowłose. We Włoszech zaś, gdzie chrześcijańska ludność jest ciemnowłosa, Żydzi wykazują tylko 5% blondynów, w Afryce północnej procent ten jest jeszcze mniejszy.

Wreszcie kwestja czaszki. Czaszka ma być ową niezmienną cechą rasową, według której można odróżnić Żyda. Jednak w świetle objektywnych badań naukowych i ta cecha zawodzi. Wśród Żydów współczesnych niema wogóle wspólnego typu głowy, reprezentowane są bowiem prawie wszystkie odmiany czaszki. Na podstawie szczegółowej i bogatej statystyki, którą tu pomijamy, Kautsky stwierdza, że Żydzi Kaukazu są uderzająco krótkogłowi, Żydzi w Północnej Afryce, a szczególnie w Arabji — są długogłowi, u Żydów europejskich przeważa miara średnia. Odnosi się wrażenie, **że te trzy grupy Żydów należą do trzech odrębnych typów rasowych.**

* * *

Kautsky przechodzi do analizy cech fizjologicznych Żydów.

Żydzi odznaczają się rzekomo uderzająco wąską klatką piersiową, menstruacja u kobiet następuje wcześnie, płodność Żydów osiąga ponoć nadzwyczaj wysoki stopień, ogromna jest zdolność Żydów do aklimatyzowania się.

Kautsky zgadza się, że cechy te naogół odpowiadają rzeczywistości, ale dowodzi, że nie są to właściwości rasowe, że wyrastają one na tle warunków socjalnych. Zrozumiemy tę myśl, kiedy porównamy nie wogóle Żydów z nie-Żydami, ale Żydów dawnej warstwy narodu z nie-Żydami tejże warstwy. Zauważymy wówczas, że ciasną klatkę piersiową posiadają również często i nie-Żydzi, którzy jako kupcy, lub pracownicy umysłowi prowadzą siedzący tryb życia bez ćwiczeń gimnastycznych; że menstruacja nie tylko u Żydówek, lecz wogóle u mieszkanek miast zachodzi wcześniej, aniżeli u dziewcząt wiejskich; że zdolność aklimatyzowania się w krajach tropikalnych ma Żyd wspólną z innymi Europejczykami, którzy tam przychodzą nie jako robotnicy lub żołnierze, wyczerpujący się fizycznie, lecz jako kupcy, trzymający się zdala od wysiłków fizycznych i pijatyki.

Jeśli mowa o płodności, to Kautsky wykazuje, jak ta rzekomo niezmienna cecha rasowa zależna jest od stosunków społecznych. Na podstawie licznych cyfr statystycznych, ilustrujących ruch ludnościowy wśród Żydów w Rumunji, Niemczech, Francji i Ameryce Północnej, Kautsky stwierdza, że podobnie jak u ogółu ludności miejskiej, tak też i u żydowskiej daje się zauważyć ubytek w liczbie narodzin.

Z całą powagą Kautsky analizuje nawet i takie cechy, jak np. patalogiczną rzekomo skłonność rasową Żydów do cukrzycy, specyficzny akcent żydowski, po którym można zawsze poznać Żyda.

Kautsky dowodzi, że cukrzyca jest chorobą żydowską tam, gdzie Żydzi zajmują się przeważnie kupiectwem. Jest to choroba związana nie z rasą, lecz z trybem życia pewnych warstw społecznych. Cukrzyca bowiem jest nie mniej rozpowszechniona wśród kupców i pracowników umysłowych-chrześcijan. Jest rzeczą ciekawą, że Żydzi w dawnej Rosji carskiej, składający się przeważnie z robotników, dostarczali procentowo tyleż chorych na cukrzycę, ile reszta ludności.

Jeśli chodzi o specyficzną wymowę żydowską, to — powiada Kautsky — tak jak Żydzi wszędzie i zawsze żydłaczą, tak wszędzie i zawsze saksonizują Saksończycy, szwabizują — Szwabi. Czy można z tego wyciągnąć wnioski o właściwościach rasowych? Gramatyki i słownictwa, jak i wymowy dziedziczyć nie można — trzeba jej się nauczyć. Otoczenie odgrywa tu wielką rolę. I Kautsky robi w tem miejscu bardzo głęboką uwagę socjologiczną: **gdy Żydzi wymawiają na swój sposób język narodu wśród którego żyją, dowodzi to, że w obrębie tego narodu wiodą odrębny żywot, pozostając z sobą w najściślejszym kontakcie.**

Specyficzny więc akcent wymowy żydowskiej jest tylko wymownem zaakcentowaniem specyficznego położenia Żydów, owego politycznego, ekonomicznego i kulturalnego ghetta, do którego Żydzi zostali zepchnięci. Żydzi, którzy nie wyrastają w zamkniętej, żydowskiej gminie, ale wychowują się razem z nieżydowskiemi dziećmi, nie mają żydowskiego akcentu w wymowie.

* * *

Kautsky zamyka rozdział o specyficznych cechach rasy żydowskiej analizą duchowych właściwości Żydów.

Antysemici zarzucają Żydom, że cechuje ich rozsadzająca, czysto negatywna krytyka, chęć pchania się naprzód, bewzględna żądza dorobku, szacherka. Żyd nosi we krwi, od urodzenia, nikczemność myśli i pragnień wyzyskiwacza. Nic więc dziwnego, że w wyścigach konkurencji kapitalistycznej Żyd prześciga każdego współzawodnika-chrześcijanina.

Kautsky analizuje te zarzuty jako socjolog. Nie przeczy ich oczywistości. Ma na myśli klasę bankierów, kupców i przemysłowców wśród Żydów. Nie jest ani antysemitą, ani filosemitą. Robi przekrój społeczny narodu żydowskiego od zarania jego istnienia. Wskazuje na doniosłą rolę, jaką zawsze odgrywała wśród ludności żydowskiej miejska warstwa kupiecka. Obserwuje zmianę cech umysłowych, która dokonywa się jeszcze i dziś w mieszkańcu wsi pod wpływem miasta. Zwraca uwagę na doniosłej wagi fakt historyczny, że Żydzi są jedynym narodem na ziemi, który od dwóch tysięcy lat tworzy często miejską ludność, skazaną na handlowy tryb życia — i z tych wszystkich przesłanek wyprowadza duchowe oblicze żydowstwa. Jest to — powiada Kautsky — do krańcowości doprowadzona osobliwość mieszkańca miast.

Żyjąc poza granicami Palestyny Żydzi byli przedewszystkiem zdani na zajmowanie się handlem. Występują wcześnie jako kupcy. Skutkiem tego rozwinęli znacznie zdolności, których potrzebuje kupiec i wysoki ten rozwój musiał w ciągu wielu generacyj w obrębie tych samych rodzin, zajmujących się jedną i tą samą czynnością, wytworzyć wkońcu zdolności i cechy dziedziczne. Kiedy powstał nowoczesny kapitalizm, kiedy pieniądz stał się potęgą światową — bogiem, żądza zaś zysków — modłami codziennie doń zanoszonemi, wówczas Żydzi, jako element handlowy i miejski, byli psychicznie i praktycznie najbardziej przystosowani do właściwości, których wymagał kapitalizm, najłatwiej potrafili wybić się na czoło i ugruntować swe wpływy w kapitalistycznym systemie produkcji.

W tych warunkach kształtowały się duchowe właściwości Żydów. Działała nie krew, nie mistyka o rasie żydowskiej, lecz konkretne warunki historyczne społecznego rozwoju Żydów: ucisk polityczny, ghetto, ograniczenie Żydów do kilku zaledwie zawodów.

Ale taka krytyka ujemnych cech duchowych żydowstwa jest zarazem **ostrą krytyką współczesnego państwa i społeczeństwa.** W konsekwencji nasuwa ona myśl, że **wraz ze zniesieniem stanu wyjątkowego względem Żydów, zniknąłby też i osobliwa odrębność Żydów.** Taka krytyka powoduje w rezultacie konieczność przeprowadzenia demokratycznych reform społecznych i politycznych.

Unika się tego wszystkiego, jeśli się cechy duchowe Żydów uważa za cechy ich rasy, mające źródło we krwi narodu. **Teorja rasy, to reakcyjny środek tłumienia wszelkiej niezależnej krytyki społeczeństwa,** wszelkiego dążenia do dalszego jego rozwoju.

Rozwinęliśmy najistotniejsze z poglądów Kautsky'ego na sprawy rasowe Żydów.

Nad temi poglądami niełatwo jest przejść do porządku dziennego człowiekowi, który chce uczciwie, poważnie i objektywnie badać życie narodu.

* * *

Pragnę zwrócić uwagę na jeszcze jeden moment w broszurze „Polityki“. Autorzy powiadają, że „interesy narodowe Żydów każą im opowiadać się stale po stronie silniejszego“. Wystawia to państwo polskie na wielkie niebezpieczeństwo w chwilach ciężkiej próby.

Zarzut ten jest i demagogiczny i nie odpowiada prawdzie dziejowej.

Jest powszechnie znanym faktem historycznym, że masy ludu żydowskiego i inteligencja pracująca zasilali stale wielkie rewolucyjne ruchy wolnościowe w Polsce porozbiorowej i w Rosji carskiej. Właśnie w „chwilach ciężkiej próby“ dla ludu polskiego nie opowiadali się po stronie silnych — tych co byli u władzy — lecz łączyli swe życie z tymi, co w podziemiach wykuwali przyszłe losy kraju, przynosząc narówni z innymi bojownikami w ofierze swą młodość i krew.

Nic nie zdoła wyrwać z historji Polski tego faktu, że w dziejach walk wyzwoleńczych ludu polskiego od czasów insurekcji kościuszkowskiej w 1794 r., poprzez powstanie listopadowe 1830—31 r., poprzez powstanie styczniowe 1863 r., poprzez walki z caratem — 1905 r., aż do okresu powstania Legjonów Piłsudskiego i wreszcie ostatnich walk (1918) o niepodległość, żydowskie masy ludowe i inteligencja pracująca brały czynny udział w tych zmaganiach.

Wystarczy, jeśli wspomnimy dzieje bohaterskiego pułku Berka Joselewicza i owych 15 tysięcy gwardzistów i kawalerzystów żydowskich, których kozacy generała Suworowa wycięli w pień w walce pod Pragą, lub że przypomnimy dziesiątki Żydów, którzy dumnie, jak rewolucjoniści przyjęli śmierć na szubienicy z rąk katów carskich podczas powstania styczniowego.

Lud żydowski przynosił w ofierze swe życie w głębokiem przeświadczeniu, że walcząc z najeźdźcą o ludzkie życie i wolność narodu wśród którego żyje, walczy również o własną wolność.

Rozumiał tę wspólnotę dążeń Kautsky, kiedy w 1914 r. pisał, że Żydzi „z wielką radością powitaliby wolną i demokratyczną Polskę“. Rozumiał to również w swoim czasie i Józef Piłsudski, który w tym samym mniejwięcej okresie wypowiedział następujące myśli o kwestji żydowskiej: „**Jeżeli przejdziemy do czasów najnowszych, to zauważymy jeszcze jeden czynnik, który każe Żydom iść ręka w rękę z nami; tem jest solidarność proletarjatu polskiego i żydowskiego, które mieszkając obok siebie i znosząc ten sam i przez te same osoby prowadzony ucisk i wyzysk, powinny zespolić swe siły i bezwątpienia kiedyś to uczynią. A jednocześnie solidarność ta interesów daje rękojmię, że w razie uzyskania niepodległości nawet z zachowaniem ustroju burżuazyjnego, proletarjat żydowski będzie miał w republice polskiej pewnego i silnego sprzymierzeńca w uświadomionym robotniku polskim, który aż do dnia zwycięstwa nie przestanie toczyć walki śmiertelnej z wszelką niesprawiedliwością, czy to narodową, czy ekonomiczną lub polityczną**“.

Jerzy Nawrot

„Sinobrody“ historji angielskiej

Francis Hackett. Henryk VIII. Przekład Marji Krzeczowskiej. Warszawa, J. Przeworski, 1939; str. 618.

Obok wydanych niedawno — również u Przeworskiego — „Dziejów Anglji“ w opracowaniu André Maurois, „Henryk VIII“ Hacketta jest drugiem z rzędu poważnem i obszernem źródłem, ułatwiającem poznanie historji najpotężniejszego dziś mocarstwa. Maurois — co było sprawą niełatwą — dał skrót i przekrój syntetyczny tej historji w granicach lat dwu tysięcy; Hackett postawił sobie zadanie znacznie skromniejsze, ograniczył zasięg swej pracy do epoki Henryka VIII, t. zn. pierwszej połowy XVI stulecia. W tych szczuplejszych ramach czasu zamknął jednak pisarz angielski wszystko, co z punktu widzenia historyka zamknąć w nich należało. Stworzył nietylko imponujący, pełen najdrobniejszych szczegółów, obraz panowania Henryka VIII, lecz powiązał ten fragment dziejów angielskich z historją innych państw Europy i „psychohistoryczny“ żywot swego bohatera umieścił na rozległem tle bujnej, niespokojnej i przełomowej epoki, która naznaczyła drogi ludzkości wielkiemi zdarzeniami Renesansu i Reformacji, wojen religijnych i śmiałych wypraw żeglarskich, walk o koronę cesarską i niekończącej się rywalizacji o hegemonję polityczną w Europie.

Oczywiście, Henryk VIII, osobistość nie tyle znakomita, ile dla swoich czasów reprezentatywna i charakterystyczna, występuje w dziele Hacketta na plan pierwszy, a perypetje małżeńskie i romantyczne tego Sinobrodego historji angielskiej stanowią jakby rusztowanie i kość pacierzową całej kompozycji pisarskiej. Władca Anglji nie dociągnął wprawdzie do siedmiogłowego matrymonjalnego kompletu: miał „tylko“ sześć żon, z których jedne umarły śmiercią mniejwięcej naturalną, inne — pod zarzutem „wiarołomstwa“ — złożyły głowy na szafocie, co było radykalniejszą, niż w wypadku z Anną Kliwijską, formą królewskiego rozwodu. Wśród wielu następstw niespokojnej i okrutnej jurności tego monarchy nie mało ważnem było zerwanie z Rzymem wskutek odmowy papieża w sprawie rozwodu z Katarzyną Aragońską, za czem poszło powstanie nowego, niezależnego od papiestwa, kościoła anglikańskiego, który w niczem i nigdy nie czynił królowi wstrętów.

Jak wyraził się jeden z potężnych władców ówczesnych, epoka Henryka VIII były to czasy, w których „ktokolwiek chciał coś osiągnąć, czy to godność papieską, czy cesarstwo, czy cośkolwiek innego, mógł to zdobyć tylko siłą lub oszustwem“. W swych zabiegach polityczno-dynastycznych i w swem życiu prywatnem suwerena-autokraty Henryk VIII używał i jednej i drugiej broni, nie będąc zresztą, naogół biorąc, ani lepszy, ani gorszy od swych zagranicznych, koronowanych „braci“. Światło humanizmu, płonące jasno w komnatach uczonych i myślicieli, w pracowniach artystów, którzy obdarzali świat dziełami nieśmiertelnemi, nie zawsze miało dostęp do mózgów i sumień monarchów. Ścięcie Tomasza More'a i biskupa Fishera, okrutne rozprawy z tymi przedstawicielami duchowieństwa, którzy w stosunku do żądań Henryka nie okazywali dostatecznej powolności, te wstrząsające ponurą grozą fakty mówią o bezwzględności dynastów ówczesnych, o niehamowanej niczem samowoli i braku wszelkich skrupułów moralnych. A przecież — jak świadczą kompetentni historycy — ten Henryk VIII, który z lekkiem sercem wydawał w ręce kata swe żony i swych wczorajszych powierników czy przyjaciół, w obcowaniu osobistem był zazwyczaj uprzejmy i miły, szczodry i serdeczny, a wśród poddanych cieszył się wielką sympatją i popularnością.

Książkę Hacketta, opartą na solidnych i obfitych materjałach historycznych, ujętą pod względem treściowym w sposób poważny i nie powierzchowny, czyta się — mimo ogromnych rozmiarów dzieła — jak zajmującą powieść z czasów dawnych, które znać i rozumieć należy. Na szczere uznanie zasługuje praca tłumaczki, która z dużem powodzeniem pokonała liczne i różnorodne trudności przekładu, związane częściowo z nieco zbyt kunsztowną manierą stylistyczną angielskiego autora.

Bolesław Dudziński

KORESPONDENCJA

MATERJALIZM W OPAŁACH

Do redaktora „Sygnałów"

Zygmunt Jarosz w pracy p. t. „Materjalizm żyje jeszcze" („Sygnały", nr. 59 i 60) niespodziewanie w drugiej części schodzi ze stanowiska materjalistycznego.

Przytoczywszy cytatę z Eddingtona o „początku wszechrzeczy": „wyobrażam sobie prastan rzeczy jako równomierny rozkład elektronów i protonów niezmiernie rozproszonych i wypełniających całą przestrzeń (sferyczną)... Rozkład ten pozostaje niemal niezakłócony przez czas niezmiernie długi.. Żadne zmiany narazie nie spieszą się z zakłóceniem tej jednostajności. Lecz wreszcie drobne i nieregularne dążności zaczynają się i ewolucja rozpoczyna swą drogę", — autor słusznie zauważa, że Eddington wypowiada się tu „nie o właściwym początku wszechrzeczy, lecz o stanie **już danym**", i nie precyzuje „skąd wzięły się pierwotne „drobne a nieregularne dążności" do zakłócenia owego najdawniejszego stanu równowagi", ale niewiadomo dlaczego „wybacza" mu to. Obie te uwagi są jednak znamiennie niewystarczające. Żadne badanie przyrodzonych procesów nie prowadzi wstecz do podobnego lub innego **początkowego** prastanu wszechrzeczy i nie upoważnia do wniosku, aby jakikolwiek „początkowy" prastan wszechrzeczy istniał kiedykolwiek. Zawsze nowe formy powstają tylko ze starych form. Autor nawet przytacza na ten temat zdanie Engelsa, że „materja porusza się w wiecznym kołowrocie... w którym niema niczego wiecznego prócz wiecznie zmieniającej się, wiecznie poruszającej się materji i praw jej ruchu i zmiany", i że „materja we wszystkich swoich przemianach pozostaje zawsze tą samą, żaden z jej atrybutów nie może zginąć, i dlatego ona z tą samą koniecznością, z jaką kiedyś wypędzi z ziemi swój najwspanialszy kwiat — myślącego ducha, zmuszona będzie znowu go zrodzić gdzieś w innem miejscu i w innym czasie". Ale autor nie jest jakoś pewny tego „potężnego obrazu" Engelsa i zapytuje, na jakich przesłankach on się opiera? Okazuje się, że na stwierdzeniu, że „wypromieniowane w przestrzeń międzygwiezdną ciepło powinno mieć możność jakąś drogą — którą odkryć jest zadaniem przyszłego przyrodoznawstwa — zmienić się w inną formę ruchu", oraz na logicznym wywodzie, że „wiecznie powtarzające się konsekwentne pojawianie się światów w nieskończonym czasie okazuje się tylko logicznym korelatywem do jednoczesnego istnienia niezliczonych światów w nieskończonej przestrzeni". Laplace w swojej teorji kosmogonicznej mówi, że jeżeli widzimy w teraźniejszości wszystkie formy, które można uszeregować w kołowrót przemian, to mamy prawo wnosić, że te formy w czasie przemieniają się kolejno w siebie. Na podstawie mgławic, jakie widać obecnie, Laplace mówi o „pramgławicy" układu słonecznego, która istniała kiedyś tak, jak inne takież istnieją dziś. To wystarczało Engelsowi i wystarcza każdemu materjaliście, ale nie wystarcza Z. Jaroszowi. „Nauka dzisiejsza nie odkryła (jeszcze?) — pisze on — owej drogi, którą przewidział Engels". Więc cóż z tego, że nie odkryła „jeszcze", skoro wtedy to wystarczało, skoro mgławice powstają z gwiazd a gwiazdy z mgławic, jak o tem świadczy istnienie form, układających się w kołowrót przemian? Engels żąda, aby odkryto prawo przemieniania się „ciepła wypromieniowanego w międzygwiezdną przestrzeń w inną formę ruchu". A nasz autor żąda by to już było i twierdzi, że „w przewidywaniach na ten temat nie posunęliśmy się naprzód od czasów Engelsa". A sam entuzjazmuje się, że „jedną z najważniejszych zdobyczy fizyki współczesnej, ściślej — teorji względności, jest stwierdzenie **tożsamości** materji i energji... I materja i energja (t. zn. ruch) znalazły wspólny mianownik, który ma na imię: masa... W jaki sposób starzeją się gwiazdy? Tracą energję przez promieniowanie, tracą odpowiednio masę, stają się lżejsze". A co się z tą masą dzieje? Czy nie odbywa się w niej ruch w innej niż ciepło formie? „Czy nie posunęliśmy się naprzód od czasów Engelsa" przez to „wielkie odkrycie Einsteina sprzed lat trzydziestu"? „Termiczna śmierć świata — mówi autor — jest wnioskiem teoretycznym z drugiego prawa Carnota". Ale „być może, że drugie prawo Carnota wolno będzie stosować tylko do poszczególnych układów fizycznych, a nie do całości wszechświata". O cóż więc chodzi autorowi, jeżeli to sam przewiduje? Materjaliście Engelsowi to wystarczało. Ale ponieważ od Engelsa posunęliśmy się naprzód o „wielkie odkrycie Einsteina sprzed lat trzydziestu", więc dziś nie potrzebujemy już mówić, że drugie prawo Carnota „być może wolno **będzie** stosować" tylko do poszczególnych układów.

Dalej autor mówi coś dla mnie niezrozumiałego. „Sprawa końca świata wiąże się z zagadnieniem jego początku tylko pośrednio". Co to znaczy? **Co może znaczyć to zestawienie wyrazów?** Wszystko, co ma początek, musi mieć koniec. To „wszystko" obejmuje to, co jest tworem konkretnym, powstającym i ginącym w tym „kołowrocie, w którym niema nic wiecznego" prócz niego samego. A ten kołowrót, przeciwstawiający się wszystkiemu temu, co nie jest wieczne, nie ma ani początku ani końca. I nie może mieć końca, jeżeli nie miał początku, ani nie mógł mieć początku, jeżeli nie ma mieć końca. Autor wyobraża sobie widocznie, że może kiedyś skończyć się to, co nie miało nigdy początku, albo istnieć bez końca to, co miało kiedyś początek. Bowiem **sprawa końca świata i zagadnienie jego początku wiążą się z sobą tylko pośrednio.** Właśnie niema tu oddzielnych dwóch spraw, które wiązałyby się z sobą w dodatku **pośrednio,** lecz jest tylko jedna: sprawa wiecznotrwałości albo niewiecznotrwałości dla początku i końca wszechbytu. I to tylko dla niematerjalisty.

Wreszcie, Einstein zrobił jeszcze coś więcej, niż referuje autor: zamknął przestrzeń krzywizną geometryczną, związał nierozerwalnie z przestrzenią czas w jednem czterowymiarowem continuum Einsteina. (Sprostowanie: tego związania dokonał nie Einstein, lecz Herman Minkowski i w continuum nie Einsteina, lecz Minkowskiego). „A czyż wieczność — zapytuje dalej autor — nie była jednym z atrybutów czasu absolutnego?" I czy wobec tego słowa o „wiecznym kołowrocie poruszającej się materji" nie stały się beztreściwe?" — Wobec czego miały się stać beztreściwe?

Einstein zamknął geometrycznie świat w przestrzeni sferycznej, czyli skończonej choć nieograniczonej (jej prawdopodobieństwo przewidział Riemann w r. 1846) i zastosował do tego świata konstrukcję czterowymiarowego continuum Minkowskiego, z zastosowaniem do przestrzeni tego continuum zasady **nieeuklidesowości sferycznej** Riemanna, a do „wymiaru czasu" tegoż continuum — zasady nieeuklidesowości **pseudosferycznej,** którą jeszcze przed Riemannem i też w zastosowaniu do przestrzeni opracował geometrycznie **Łobaczewski** (1793—1856). Einstein oparł się przytem na obliczonej przez Hubble'a gęstości średniej materji kosmicznej wszystkich 2,000.000 mgławic spiralnych — tworów równorzędnych z naszą gwiazdową Mgławicą Mleczną — znanych astronomji i stanowiących oddzielne mgławicowe ugrupowanie, poza którem niema już w dostrzegalnem „pobliżu" astronomicznem mgławic spiralnych. Ten „świat fizyczny Einsteina" jest **wiecznotrwały,** t. j. **niezamknięty** na osi czasu — dlatego właśnie, że jest zamknięty przestrzennie, gdyż musiałby być zamknięty na osi czasu, t. j. niewiecznotrwały, gdyby był niezamknięty przestrzennie. Jako uogólnienie „świata fizycznego Einsteina" skonstruowany „świat pusty de Sittera" jest też wiecznotrwały i zamknięty przestrzennie. Niech mi ktoś powie, dlaczego w nich, czy w każdym z nich mają być beztreściwe słowa Engelsa o „wiecznym kołowrocie poruszającej się materji"?

Na zakończenie przytoczę jeszcze „piękne" słowa autora: (Engels) „nie przeczuwał, jak daleko pójdzie zobjektywizowanie tych dwóch form każdego zjawiska (czasu i przestrzeni) w dzisiejszem stadjum rozwoju fizyki. Nie przeczuwał, że ta potężna **objektywizacja** pociągnie za sobą **relatywizację.** Czas i przestrzeń Engelsa (i Newtona też, dodajmy od siebie) były absolutne. Takie same jak u św. Tomasza. W czterowymiarowem continuum zaś są one nietylko bardziej przedmiotowe, ale i bardziej względne niż kiedykolwiek. Skoro tedy mówimy dziś o początku wszechrzeczy, powinniśmy rozumieć pod tym terminem także początek czasu i przestrzeni. ...I jeżeli ostatecznie zostaniemy zmuszeni przyjąć, że świat wybuchł kiedyś jak wielka niespodzianka, to owo „kiedyś" będzie oznaczać wyłącznie narodziny czasu. „Coś" eksplodowało w nicości... Czy eksplozja ta skończy się kiedyś? Nauka współczesna sądzi, że raczej tak". Nie mam konia z rzędem, nie mogę więc go ofiarować za zrozumienie, o co tu chodzi.

„Materjalizm jest tak stary jak filozofja, ale nie starszy". Materjalizm też jest zasadą przyrodoznawstwa — i nic więcej. Pierwsze z tych zdań znaczy, że materjalizm od samego początku swego był filozofją. **Causa clara.** Drugie — iż wystarcza, że jest zasadą przyrodoznawstwa, aby liczyć się z niem w przyrodoznawstwie. Materjalizm jest zasadą empiryczną przyrodoznawstwa, to znaczy, że się opiera na doświadczeniu, że jest wyprowadzony z tego wszystkiego, co znamy, a czego nie nazywamy materją, że mianowicie niema ani jednego znanego nam faktu, który uważamy za niematerjalny, t. j. w którym nie ujawnia się, nie występuje żadna cecha materji, np. rozciągłość czy masa — który nie miałby materjalnego uwarunkowania. Niech znajdzie się taki fakt, materjalizm upadnie. Materjalizm zależy więc od doświadczenia, ale wszelka spekulacja przyrodopoznawcza, wszelka teorja, wszelki pogląd zależy od materjalizmu w tem znaczeniu, że nie może być uznany za słuszny, jeżeli jest w niezgodzie z zasadą materjalizmu, dopóki ta zasada nie jest obalona przez fakt. Engels był materjalistą i dlatego mógł i musiał powiedzieć, że wypromieniowane w przestrzeń międzygwiezdną ciepło powinno mieć możność jakąś drogą — którą odkryć jest zadaniem przyszłego przyrodoznawstwa — zmienić się w inną formę ruchu", gdyż inaczej świat musiałby mieć koniec, a to byłoby niezgodne z zasadą materjalizmu: A kto zastanawia się nad tem, na jakich przesłankach opiera się to twierdzenie Engelsa, i uważa, że one są niewystarczające i wątpi o jego słuszności, nie jest materjalistą. Materjalizm zależy od faktów i tylko pod tym warunkiem może być materjalizmem. Ale wszystkie sądy i twierdzenia przyrodoznawcze zależą od materjalizmu i muszą się z nim liczyć, a nie odwrotnie.

*

Z powodu artykułów Z. Jarosza o „żywotności" materjalizmu w nr. 62 „Sygnałów" ukazała się odpowiedź Aleksandra Nietlisza p. t. „Antydialektyczna obrona dialektyki". W niej mówi: „Wzór Einsteina (energja = masa × kwadrat prędkości światła) głosi tożsamość energji i masy, nie zaś jak sądzi Jarosz, energji i materji". Istotnie, w tem przedstawieniu znak = równa energję i masę przy udziale kwadratu prędkości światła jako współczynnika proporcjonalności. Ale wszak chodzi tu o zestawienie liczbowe, orzekające, że

1 erg energji = $1/c^2$ grama masy,

co nie jest bynajmniej wyrażeniem tożsamości energji i masy. Masa jest to występująca w mechanice wielkość fizyczna, związana zarówno z materją jak i energją, które występują w stosunku do masy jako równorzędne sobie jej wyrazicielki. Znak równorzędności stoi więc pomiędzy niemi.

Więcej niż przed półwieczem młody i młodo zmarły fizyk rosyjski Liebiediew mierzył ciśnienie światła, a „Jakób Pik, optyk, w Warszawie" wystawiał w oknie bańki szklane z „młynkami świetlnemi". Obracały się te młynki dlatego, że z jednej strony każdej z dwóch ich dźwigni, złożonych nakrzyż i mogących obracać się dokoła osi, przechodzącej przez ich przecięcie, była łopatka o powierzchni odbijającej światło i dlatego poddanej jego ciśnieniu, z drugiej zaś — o powierzchni pochłaniającej (zakopconej), czyli rozgrzewającej się a nie odbijającej. Światło jest energją, ciśnienie jest siłą działania masy (= masie przez przyśpieszenie). Liebiediew więc wówczas mierzył a Pik demonstrował działanie masy energji. Analogiczne działanie masy materji było znane już oddawna. Analogja jest tu więc pomiędzy energją i materją. Einstein dał równanie masy energji, która w iloczynie erg $\times c^2$ mierzy się w gramach. Niema tu w żadnym razie utożsamienia energji z masą, jak w jednostce grama niema utożsamienia materji z masą. I nie może być takiego — jednego lub drugiego — utożsamienia. Jak u Newtona masa nie utożsamia się z materją lecz mierzy jej ilość, tak i u Einsteina masa nie utożsamia się z energją lecz mierzy ją w gramach na podstawie relacji grama do erga. Wszak i erg energji nie utożsamia się z samą energją. Natomiast wartość energji w ergach utożsamia się z jej wartością w gramach. Ale i c^2 ergów energji składa się na 1 jej gram. Dlatego właśnie materja może być uważana za energję skoncentrowaną: c^2 ergów energji mieści się w 1 jej gramie. Utożsamieniu więc podlega tu energja z materją, które różnią się pomiędzy sobą tylko stopniem skoncentrowania.

Aby uniknąć „poplątania", trzeba zdać sobie sprawę, że materja i energja, dwie jakości różne fizyki przedrelatywistycznej, są jedną jakością w fizyce relatywistycznej. Jakość ta i w tem połączeniu zasługuje w pełni na nazwę materji, a dwie nazwy poprzednie są nazwami dwóch form tej materji. Oczywiście, rzecz i jej forma nie mogą być nazywane jednym terminem. Nazywając materją rzecz, można jedną z jej form nazywać materją korpuskularną lub atomową, a drugą — zamiast energji — materją promienistą lub fotonową. Ale materją jest teraz to, co dawniej nazywano i materją i energją. A więc utożsamione zostały właśnie te dwa dawne pojęcia.

Józef Ciągliński (Warszawa)

ODCZYT ZEGADŁOWICZA

Do redaktora „Sygnałów"

W dniu 22 stycznia b. r. odbył się w Sosnowcu odczyt Emila Zegadłowicza.

Sala „Edenu" była za mała, bardzo wiele osób nie zdołało się dostać, gdyż zabrakło biletów. Znamienny ten fakt potwierdza jedną z tez odczytu: podświadomą tęsknotę społeczeństwa do kultury, ginącej, niestety, w zalewie współczesnego barbarzyństwa, kultury prawdziwej, tworzącej dzieje nie wojen i królów, lecz dzieje człowieka.

Prelegent mówił o straszliwym upadku kultury u naszych bliskich i dalszych sąsiadów i wskazując na te odstraszające przykłady, przestrzegał przed stosowaniem u nas podobnych metod, przed fałszowaniem kultury, czemby np. było utworzenie „państwowej izby kultury", przed deprawacją młodych talentów, przed wszelkiemi próbami koszarowania i „gleichszaltowania".

Nie brakło w odczycie humoru: o cenzorach i dziwnych harcach ich ołówków mówił Zegadłowicz z tak subtelną i pełną wdzięku ironją, że wywołał tem nieprzymuszony uśmiech na wszystkich twarzach, nawet na twarzach obecnych na odczycie przedstawicieli władz.

A jednak nie odbyło się bez niesmacznego incydentu, wywołanego, oczywiście, przez grupkę młodych „narodowców"; incydent ten uważa za jedyny godny uwagi moment z całego odczytu Zegadłowicza niepodpisany korespondent „Kurjera Zachodniego", pragnę przeto odpowiedzieć owemu panu.

Pisze on („Kurjer Zachodni" z dn. 23. I):

„Zegadłowicz mówił na temat kultury w Polsce. W pewnym momencie prelegent powołując się na jakieś oświadczenia Chodźki i bliżej nieznanego prałata wileńskiego sprzed kilkudziesięciu lat, oświadczył, że pierwszym masonem... był Chrystus.

Oświadczenie to wywołało ostre protesty ze strony kilku słuchaczy. Ktoś nawet zapytał: „Czy to jest zebranie komunistyczne czy odczyt?"

Wszczął się tumult i krzyki. Zegadłowicz zdetonowany chciał na ten temat przeprowadzić dyskusję, ale oburzeni słuchacze nie dopuścili do tego.

W rezultacie policja usunęła demonstrujących, aby nikt nie zakłócał p. Zegadłowiczowi prelekcji. Wygłosił on też w spokoju dalszy ciąg do licznie zebranych... żydów."

Za „Kurjerem Zachodnim" przedrukowały tę notatkę, bez podania źródła, zato dosłownie i skwapliwie, liczne pisma.

Sprawę starego, poczciwego Chodźki, która wywołała zajście, poruszył już Zegadłowicz w „Sygnałach" (nr. 42).

Szkoda, że pan z „Kurjera" nie słuchał lepiej (nie chcę go posądzać o świadome przekręcanie słów prelegenta) — wielka to bowiem różnica: coś oświadczyć od siebie, powołując się na czyjeś świadectwo, a zacytować — i to w ujęciu humorystycznem — czyjeś oświadczenie, bynajmniej się z niem nie godząc.

Zegadłowicz cytował Chodźkę, który w swych „Obrazach litewskich" pisze o niezwykle bujnem rozkrzewieniu się na przełomie XVIII i XIX w. na Litwie masonerji, do której należały wszystkie wybitniejsze wówczas osobistości. Chodźko opowiada również o pewnym księdzu prałacie, mistrzu loży wileńskiej, który udowadniał odwieczność idei masońskiej i przynależność do niej samego Chrystusa.

Poczciwy prałat narobił „nieco huku", ludziom bowiem w głowach się nie mieściło, żeby Chrystus miał być masonem, jak sobie tego dla dobra sprawy życzył gorliwy prałat.

Tych ostatnich słów prelegenta nie słyszano już dobrze, gdyż znajdująca się na sali młodzież „narodowa" narobiła również „nieco" a nawet dużo „huku", biorąc, w chwalebnej prostocie ducha, ironję za dobrą monetę i wyraz przekonań Zegadłowicza — i w szlachetnym gniewie obrzuciła go epitetami: „komunista", „bolszewik", „mason" i t. p.

Dopiero interwencja znajdującego się na sali starosty grodzkiego, który polecił usunąć awanturników, przywróciła spokój.

„Zdetonowanie" Zegadłowicza dojrzał pan z „Kurjera" chyba tylko w swej bujnej wyobraźni. Przeciwnie, pisarz ze spokojnym uśmiechem patrzył na niemądre zajście, po którego zlikwidowaniu również spokojnie dalej przemawiał do „licznie zebranych żydów", a może i nie samych Żydów, skoro był tam także pan z „Kurjera Zachodniego"? Zresztą, ghetto ławkowe na odczytach w Polsce nie jest wprowadzone.

Na zakończenie, w pełnej napięcia ciszy, padły słowa ożywione wiarą w odrodzenie sprawiedliwości, w przyszłe wyrównanie krzywd, w wydźwignięcie z upadku kultury na chłopskich i robotniczych barkach.

Gdy przebrzmiały ostatnie słowa, zerwała się burza oklasków. Brzmiały długo. Gdy wreszcie umilkły, ludzie rozeszli się do swych domów i zajęć skupieni, lecz nie ukołysani — przeciwnie: rozbudzeni i czujni. Odczyt spełnił swoje ważne zadanie — bowiem rzeczą pisarzy jest niepokoić, budzić, promieniować „siłę fatalną".

M. Wrzosek (Zagórze)

NAGRODA DEBJUTANTÓW

Do redaktora „Sygnałów"

Jeszcze jedna nagroda? Czyż nie jest ich już za wiele?

Napewno nie. W naszych warunkach nigdy nie będzie za wiele nagród literackich jako — zapomóg pieniężnych. I ta właśnie byłaby ich klasycznym przykładem. Wszyscy dotychczasowi laureaci mają już, w większym lub mniejszym stopniu, wyrobione pozycje w piśmiennictwie, mają ustalone środki materjalne do dobrej, conajmniej znośnej egzystencji życiowej. Dla nich nagroda jest przedewszystkiem zadowoleniem moralnem, honorowem uznaniem ich twórczości. Lecz jest wielu pisarzy, którzy o chłodzie i głodzie dążą do wydania pierwszej swej książki, wkładają w nią zdrowie, wkładają ostatni grosz. I co mają za to? Największa dla nich łaska — zwrócenie uwagi krytyków. To mało. I często taki debjutant, zapowiadający się bardzo dobrze — milknie; pracuje na kawałek chleba, często zniechęca się do twórczości na długie lata, nazawsze. To jest niepowetowaną stratą dla naszej kultury. Ci młodzi, początkujący pisarze mają zwykle w sobie coś dynamicznego, coś nigdy niepowtarzalnego w następnych latach; mogą wiele dać z siebie, gdy sami dostaną. Lecz największy, najbardziej poetycki, romantyczny dynamizm może zatrzeć się z powodu braku bardzo prozaicznych spraw: opalonego mieszkania, całej koszuli, codziennego obiadu.

Pisarze-chłopi, zamieszkali na wsi mają się jeszcze gorzej: warunki kulturalne... Wiele możnaby o tem napisać. Nie mogą dostać się do miast, są odcięci od życia artystycznego, nie mają bibljotek, czytelń, klubów. Chodzą samotni, myślą górnie; piszą, piszą i piszą — a „dzieła" ich drukuje jakaś gazeta klerykalna albo t. zw. „ludowa".

I dlatego uważam, że konieczne jest utworzenie „nagrody debjutantów", do której stawianoby kandydatów pochodzących z miast i wsi.

Byłoby dwu laureatów „wiejski" i „miejski". Oczywiście, inny będzie debjut pisarza z jakiejś tam Wólki, inny zaś z Warszawy.

Taka nagroda pozornie najmniej wartościowa, nie może być jednak mała, powinna być równa conajmniej nagrodzie młodych. Miałyby dla laureata znaczenie przedewszystkiem jako zasiłek. Nie byłaby mniej popularna od wielu innych, już choćby dlatego, że byłaby jedyna w swoim rodzaju, niepodobna do innej.

Podział debjutantów na dwie grupy przyczyniłby się bardzo wydatnie do podniesienia się literatury chłopskiej.

Wiktor Bastrzyk (kol. Mogilnica)

WŚRÓD NOWYCH POWIEŚCI

Bogusław Kuczyński. Starzy ludzie. Powieść. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1939; str. 264. — **Ewa Szelburg-Zarembina. Legendy Warszawy.** Ilustracje i inicjały według drzeworytów **Stefana Mrożewskiego.** Warszawa, Gebethner i Wolff, 1938; str. 75 i 3nl. — **Czesław Garda. Konfrontacje.** Łódź, 1938; str. 54 i 2 nl.

Kuczyński należy do tej drugiej, spokojniejszej fali nowatorów i reformatorów, która po spłynięciu krzykliwej awangardy dominuje obecnie w świecie t. zw. „młodej" literatury polskiej. Kodeks wartości awangardy polegał na jaskrawych, doraźnych efektach niezwykłości, eksperyment, który dla prawdziwego awangardzisty był najwyższym celem pracy twórczej, pojmowano jako radykalne zaprzeczenie literatury zastanej, jego sens polegał na odwróceniu o 180° chwytów i systemów utartych, często poprostu stawiano na głowie „passeistyczne" dzieło sztuki i nierzadko w zupełności zaspokajało to ambicje nowatorskie tego lub innego koryfeusza awangardy.

Ale okres burzy i naporu minął. Nowemu pokoleniu, które się wylęgło w cieniu manifestów „Linji" i „Żagarów", które zaś tak rychło zwarzył krach tych pism i głoszonych przez nie programów, pozostała bodaj tylko jedna cecha wspólna z mglistym zresztą światopoglądem Przybosiów i Brzękowskich: kult dla eksperymentu. Jakże inaczej jednak eksperyment literacki rozumie się teraz.

Ambicją obecnych nowatorów nie jest „stawianie dzieła do góry nogami"; są oni subtelniejsi. Jeśli tamtym zależało na wulgarnem (zwłaszcza w początkach: era „Zwrotnicy") epatowaniu odbiorcy, to ci raczej chcieliby go odstraszyć od siebie i zniechęcić.

Któryś ze współczesnych biologów przeprowadził taki eksperyment ze szczurem: poddając go próbie t. zw. labiryntu przyzwyczaił go znajdować żywność na drugim końcu bardzo skomplikowanego systemu korytarzy, poczem kolejno pozbawiał go oczu, uszu, organów węchu, wreszcie zalał labirynt wodą i obciął szczurowi łapy i ogon: ta grudka mięsa znalazła jednak drogę do żywności, dopłynęła.

Podobnie jest z naszymi nowatorami; krążą oni dokoła swych pomysłów i szukają: coby tu jeszcze można było obciąć lub skaleczyć, jakby tu jeszcze można było wypróbować granicę wytrzymałości dzieła i czytelnika.

W gronie tych eksperymentatorów Kuczyńskiemu należy się miejsce niepoślednie. Sztuką pozbawiania książki momentów atrakcyjnych operuje on znakomicie i umiejętnie odsuwa za kulisy wszelkie sytuacje, któreby mogły grozić wywołaniem napięcia, z dużym rozmachem i żelazną konsekwencją wytrzebia swoich bohaterów z t. zw. cech indywidualnych, sprowadzając ich do wspólnego mianownika, gdy jedyną różnicą między nimi stają się imiona i cechy rodowodowe (np. ten jest synem Benjamina, ów zaś pierwszym mężem przedostatniej kochanki jego szwagra), natomiast cenną uwagę swoją koncentruje po mistrzowsku na takich okolicznościach, jak ta, że ten przyszedł do tego poczem sobie poszedł, tamta zaś została gdzieindziej i długo myślała o tem, co się stało przedtem i co nic a nic nie zaważy na czemkolwiek późniejszem.

Pozwólcie Kuczyńskiemu redagować wielką gazetę informacyjną: złoży on najdrobniejszym petitem telegramy i wstępniak, a na pierwszych dziesięciu stronach wielocentymetrową czcionką tytułową złoży rubrykę „z miasta", „programy radjowe" i „kalendarzyk na dzisiaj".

Trudno jednak zaprzeczyć, że się eksperyment Kuczyńskiemu udał: jego dzieło mimo wszystko żyje. Oczywiście, nie biega, nie śpiewa, nie walczy, leży sparaliżowane i cuchnie, a jednak żyje. Po książce pozostaje ciężki odór nędznej egzystencji nędznych ludzi: ten jednolity, a ponury koloryt jest niewątpliwie zdobyczą artystyczną.

Ale trudno się obronić przykrym myślom o powtórnym analfabetyzmie pisarskim, który ogarnia naszą literaturę. Starzy mistrzowie prozy te same efekty umieli osiągać o ileż łatwiej i pełniej i nie trzeba im było tylu dobrowolnych rezygnacyj z porywających i żywiołowych aspektów twórczości, tyle samookaleczenia się, jak to jest np. u Kuczyńskiego.

Przyczyny tego szukaćby należało zapewne w tem, że dawniej zadanie pisarza pojmowano szerzej i wyżej niż obecnie: nie jako jeden z zawodów ludzkich o wąskiej hierarchji celów, lecz jako funkcję ponadczy ogólno-ludzką, całkującą na swój sposób wielopostaciowe społeczeństwo i skierowaną do niego, jako całości.

Niema eksperymentu dla eksperymentu, jak niema artyzmu dla artyzmu, ani bohaterstwa dla bohaterstwa. Pisarze w rodzaju Kuczyńskiego przypominają świętego Szymona Słupnika. Święty ten napewno bardzo im imponuje. Przypominają także skopców rosyjskich.

Na wystylizowanych opowiadaniach **Ewy Szelburg-Zarembiny** zaciążyły jej właściwości pisarskie i pewne cechy bieżącej epoki literackiej.

Jeśli chodzi o plusy tej książki, to trzeba mówić przedewszystkiem o języku. Szelburg-Zarembina sprawnie owładnęła językiem. Jej stylizacja staropolszczyzny nie razi zależnością od dawnych specjalistów tej dziedziny, słownik zaś nie jest natrętnie przeładowany wygrzebanemi z zakurzonych foljałów słówkami. Oczywiście, zdarzają się potknięcia przy wyrazach, których antyczność jest sztucznie wydedukowana; są one raczej zwykłemi barbaryzmami (np. „naprzeciw" — por. ros. „naprotiw"), są to jednak wyjątki.

Charakterystyczna dla „Legend Warszawy" jest prostota, a może nawet ubóstwo fabuły. Opowiadania Szelburg-Zarembiny są jednosytuacyjne, statyczne, są to właściwie komentarze do jednego obrazu, tyle w nich ruchu, napięcia, dynamiki, ile w jakimś fresku czy witrażu. Jest w tem niewątpliwa degradacja legendy: jej bezimienni twórcy ludowi znacznie sprawniej umieli się posługiwać systemem fantastycznej, odrealnionej motywacji i osiągali przez to piękne efekty, jedyne w swoim rodzaju.

Równie znamienna jest nieporadność autorki (może zamierzona: tęsknota do prymitywu) w posługiwaniu się symbolami. W legendzie ludowej postaci i sytuacje były prześwietlone i pogłębione przez dyskretne nadanie im znamion symbolów. Takich perspektyw próżno szukalibyśmy w „Legendach Warszawy".

My, Wilnianie, patrzymy na tę książkę z uczuciem, które ogarnia potomków zubożałego ale starego rodu na widok opiewania chwały nuworyszów i karjerowiczów. Bo to, co ta książka zawiera, w porównaniu z legendami Wilna, jest błahe i nikłe, a próby zamaskowania tego przez ozdoby graficzne i stylistyczne nikłość tę jeszcze bardziej podkreślają.

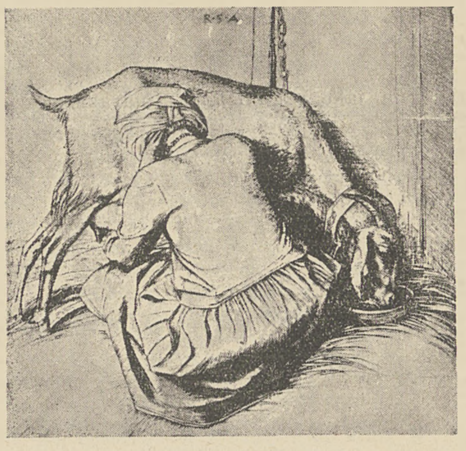
Książka **Gardy** ma przyjemną szatę zewnętrzną. Jest to zeszycik formatu i rozmiarów zbiorków wierszy, któregoś z „młodych" poetów. Układ druku czytelny i nie banalny, czcionki przyjemne, paginacja u dołu świadczy o prawidłowem rozwiązaniu graficznem płaszczyzny.

Tyle dobrego można o tej publikacji powiedzieć. Opowiadania w niej zawarte są bardzo słabe.

Jerzy Putrament

SZTUKA BRYTYJSKA W I.P.S.ie

Wystawa współczesnej sztuki brytyjskiej jest smutną demonstracją oficjalnego angielskiego pompierstwa. Spośród stu kilkudziesięciu pieczołowicie oprawionych i starannie podanych płócien można — i to z trudem — wyłuskać zaledwie kilkanaście poprawnych malowideł (Evoy, Sickert, Steer). Sądząc z wystawy malarstwo angielskie cechuje niemal absolutny brak jakiejkolwiek odkrywczej lub choćby odrębnej inwencji twórczej. Być może, że niski poziom eksponatów jest wynikiem urzędowej selekcji, dokonanej przez „Angielską Komisję Sztuki", będącą odpowiednikiem naszego „Tosspo" i że istnieją jacyś zakonspirowani angielscy malarze z prawdziwego zdarzenia. Są to jednak tylko przypuszczenia. To bowiem, co nam zaprezentowano, nie jest, prócz podpisów, ani angielskie (mam na myśli nie fabułę, lecz odrębną formę malarskiej wypowiedzi) ani współczesne; chyba że współczesność polega na bezmyślnem reprodukowaniu nowoczesnej sztuki francuskiej. Wyjątkowa, patologiczna bluszczowość malarstwa angielskiego, mająca swe źródło w zaniku indywidualności artystycznej, sprawia, że prawie każdy obraz na wystawie jest fotograficzną reminiscencją muzealnych dzieł sztuki, bądź parodją popularnych obrazów nowoczesnych Francuzów. Tak więc Peploe bezwiednie parodjuje Maneta („Martwa natura"), Austin (grafika)... Dürera, Steer — Constable'a, Philpot — Degasa („Akrobaci"), Pasmore — Bonnarda, Hitchens — Matisse'a, Roberts — Deraina, Lewis — Gromaire'a i t. d. Pozostałe płótna stanowią szczególny rodzaj międzynarodowego zręcznego partactwa, zapełniającego oficjalne „salony" na obu półkulach. Mamy tu więc znakomite próbki portretu o tak zwanej „eleganckiej i wyszukanej linji", w gatunku Styków i Czedekowskich, to znów „nastrojowe" i chlastane „z temperamentem" oleodruki pejzażowe, plastelinowe, wysmarowane „żywiołowo" szpachlą, oślepiające werniksem — „martwe natury" — wszystko razem nie bardzo odbiegające od „poziomu" warszawskiej Zachęty.



Robert Austin: Drzeworyt

Zatęchła, eklektyczna atmosfera wystawy nie jest bynajmniej niespodzianką, albowiem malarstwo angielskie od stu lat, od śmierci Constable'a i Turnera, nie wpływa w najmniejszym stopniu na rozwój sztuki europejskiej. Naród kolonjalnych imperjalistów, wielkich pisarzy i największych muzeów jakoś nie wykazał się nigdy szczególną predylekcją do oryginalnej twórczości plastycznej. Anglicy sztukę zazwyczaj importowali — zarówno dzieła, jak i artystów. Bez przesady można powiedzieć, że narodową sztuką angielską jest... kolekcjonerstwo. W XVI stuleciu sprowadzają Holbeina, który ich niczego nie nauczył; tem bardziej nie mógł tego uczynić sto lat później epigon Rubensa, genjalny pompier Van Dyck. W XVIII wieku na angielskiej pustyni naraz samotnie zakwita Hogarth, który zresztą nie wniósł nowych wartości formalnych. Odrębność Hogartha tkwi w śmiałej, rewolucyjnej obyczajowo-satyrycznej tematyce słynnych cyklów graficznych. Gainsborough i Reynolds i ich uczniowie, szlachetna odmiana akademizmu, sa bez znaczenia w dziejowym przekroju malarstwa. Dopiero w pierwszej połowie ubiegłego stulecia Bonnington, Constable, Turner tworzą zaczątek nowoczesnego pleneru i impresjonizmu. Ci trzej wielcy artyści są na tle sztuki angielskiej zjawiskiem przypadkowem i poniekąd dziwacznem, nie pozostawiają też po sobie w Anglji ani jednego wybitnego następcy, zapładniają natomiast francuskich romantyków (Gericault, Delacroix), pejzażystów z Barbizonu, wreszcie Moneta i Pissarro. Po krótkim i ożywczym (dla innych) przebłysku, malarstwo angielskie pogrąża się na pół wieku w mętną symbolikę i bajczarstwo (angielska secesja — prerafaelityzm), bądź w jałowy akademizm (Hercomer). Przełom impresjonistyczny we Francji nie odnajduje swego echa nad Tamizą: Whistler był rodowitym Amerykaninem, Sisley zaś urodził się i całe życie spędził we Francji. Wracając do wystawy brytyjskiej ze zdumieniem stwierdzamy, że nawet sztycharstwo XVIII i początku XIX stulecia — jedyna oryginalna i interesująca gałąź sztuki angielskiej — skompletowano po szkocku, czyli skąpo i niedbale.



William Roberts: Piłowanie drzewa



Wilson Steer: Pejzaż

Zaledwie kilka kapitalnych mezzotint Barney'a, Turnera, Dickinsona daje pewne pojęcie o technicznem mistrzostwie dawnej grafiki angielskiej, tak korzystnie odcinającej się od kilkudziesięciu przeraźliwie tępych i nudnych drzeworytów, akwafort i litografij „współczesnych".

Leon Strakun

Czas odnowić prenumeratę

Nowe książki

Szymon Spund. Miasto obłąkanych. Faktomontaż z Kulparkowa. Lwów, „Myśl", (1939); str. 2 nl i 137 i 5 nl.

Świat obłąkanych, niedostępny nawet w obecnym stanie wiedzy lekarskiej dla psychjatry, musi być jeszcze bardziej obcy w swych zakulisowych, pozazewnętrznych tajnikach dla reportera i dziennikarza. Dlatego czytelnika „Miasta obłąkanych" rozczaruje brak sprężyn, jakiegokolwiek światła na reżysera koszmarnego teatru, w którym kobiety jedzą własny kał, szkło, myszy, karaluchy, piszą latami listy miłosne, a mężczyźni trwają w pozach królów, cesarzy, wynalazców, w nieustannym chichocie. Rejestracja upiornych póz i ról granych niezmiennie przez aktorów, którzy przecież przeszli już śmierć i są „z innego świata", ilustrowanie miotającego się, obłąkanego zbiorowiska stawia tem uporczywiej dręczące pytanie o skryte w mrokach siły, wystawiające tu dniem i nocą nieszczęsne przedstawienia. Spund odnotował wprawnie konwulsje fizyczne i torsje umysłowe, święte, głębokie milczenia i niedorzeczne, choć zawsze indywidualne monologi warjatów, uchylił kurtynę, ale nie kulisy, bo tam nie docierają nawet lekarze. Reportaż przynosi wiadomości statystyczne, daje skromne pojęcie o męczącej, osobliwej pracy personelu lekarskiego i służby wśród ludzi, których istnienie straciło wszelki sens.

Jan Gieryński. Lwów nieznany. Lwów, Księgarnia A. Krawczyńskiego, 1938; str. 114 i 6 nl.

Wasylewski szedł w swojem ślicznem studjum o Lwowie gzymsami historji, patyną epok świetności kresowego miasta, urokami i wiatrami przeciągającemi nad grodem sławnych walk. Gieryński dał przystępny, oryginalny wykład o maszynerji wielkiego miasta, funkcjonowaniu wszystkich jej trybów, o siłach, wprawiających i utrzymujących je w ruchu. Wyszperał wiele statystycznych cyfr, setki porównań, z kilkunastu regjonalnych pogadanek przed mikrofonem rozgłośni lwowskiej skomponował studjum odkrywcze w rodzaju „sami nie wiecie, co posiadacie", bogate w zestawienia faktów z historji, gospodarki i administracji miasta. Rozmieszczenie intymnej statystyki Lwowa poszło autorowi lekko, prawie z kokieteryjnym uśmiechem; książeczka odbija pięknie naturalnemi kolorami od wzniosłego ględzenia i chwalstwa, maskujących pospolicie niewiedzę i parafjaństwo, choć niewybaczalny jest brak informacyj o szkolnictwie i naprawdę „nieznanem" życiu ukraińskiem.

Franciszek Gil

Odpowiedzi redakcji

M. F. Warszawa. List zamieszczamy. Za miłe słowa i życzenia serdecznie dziękujemy. Prosimy o dalszą pamięć.

St. B. Warszawa. Z wiersza nie skorzystamy.

J. Poza. Warszawa. Niestety, to jeszcze nie poezja. Nie skorzystamy.

Ch. Ł. Warszawa. Ze względów od redakcji niezależnych listu nie możemy umieścić.

S. F. R. Warszawa. Ze szkicu nie skorzystamy.

J. S. Warszawa. Wiersze nie będą drukowane.

Ign. R. Lwów. Wiersz nie będzie umieszczony.

Z. L. Kraków. Rzecz odpowiednia do dziennika lub do tygodnika politycznego. Wszyscy jesteśmy tak samo przejęci. Zasyłamy pozdrowienia.

Gil. Lublin. List przesłaliśmy autorowi artykułu. Dziękujemy za pamięć i zasyłamy pozdrowienia.

P. K. Warszawa. Z wiersza nie skorzystamy.

J. P. Warszawa. Prosimy o przysłanie większego wyboru.

„Grom". Lwów. Forma jeszcze słaba, ale tematy są ciekawe. Warto popracować. Prosimy o pamięć.

* * *

W poprzednim (62) numerze „Sygnałów" z dnia 1 lutego: **Jerzy Boreisza:** Stare sztandary i nowe czasy. — **Franciszek Gil:** Mesjasz niemiecki narodu ukraińskiego. — — **Henryk Balk:** Say it with music. Śpiew **Zygmunt Jarosz:** Marxizm a determinizm. — **Stanisław Jerzy Lec:** W podróż. — **Bolesław Dudziński:** Z zagadnień mocarstwowych. — **Marjan Promiński:** Na fatalnej djecie. — **Marja Fidererówna:** Co cesarskie — cesarzowi... — **Jerzy Putrament:** Wśród nowych powieści. — Oblicze dnia. — **Konstanty Anselm:** Symbol hańby: ghetto. — Korespondencja (**Aleksander Nietlisz, Marek Folman, Stanisław Ryszard Dobrowolski, Zygmunt Piotrowski, Bolesław Dudziński**). — Nagrody literackie. — Od wydawnictwa. — **Jerzy Pański:** Teatry warszawskie. — **Z. Wasilewski:** Synowie nieba (rys.). — 3 ilustracje. 8 stron.

Redakcja i administracja: Lwów, Hauke Bosaka 12, telefon 244-78, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godziny 17 do 19. — Prenumerata w kraju: kwartalna 2 zł., półroczna 4 zł., roczna 7 zł.; zagranicą: kwartalna 3 zł. 50 gr., półroczna 6 zł. 50 gr., roczna 12 zł. — Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości jednej szpalty 80 gr. — Konto w P. K. O. nr. 503.400. Pocztowe konto rozrachunkowe nr. 1.

Wydawca i redaktor: KAROL KURYLUK — **Z drukarni „POLIGRAFJA", Lwów, Lindego 6**